CENA 50 GR.

NARÓD i PAŃSTWO
TYGODNIK

ROK II. WARSZAWA, 5 Września 1937 R. NR. 35-36

Pokój wewnętrzny

Podstawowym zagadnieniem dzisiejszego okresu naszej historii jest odnalezienie najwłaściwszej drogi ku temu, aby całość naszego Narodu zespolona została w sposób najściślejszy z poczuciem odpowiedzialności za Państwo Polskie. Miernikiem celowości i skuteczności każdego politycznego działania musi być troska, czy prowadzi ono do tego celu, czy też od niego oddala.

Wypadki sierpniowe w Małopolsce powinny być wymownym ostrzeżeniem, że jest wiele powodów do niepokoju pod tym względem.

Wypadki te były groźne, więcej — tragiczne. Wymowa ich jest tym istotniejsza, że nie można w stosunku do nich zastosować jakiegoś fatalistycznego usprawiedliwienia, jako do wyniku niezależnego od woli ludzkiej układu sił i stosunków. Nie rozgrywały się one na podłożu klęsk żywiołowych, szczególnie niepomyślnych warunków. Były wynikiem świadomych i od ludzkiej woli zależnych planów i działań. Nędza wsi małopolskiej mogła tu być pewnym współczynnikiem tragicznego przebiegu wypadków. Nie ona jednak była inspiratorką. Inspiracja wychodziła od czynników politycznych, była wynikiem politycznego działania i politycznej woli. Stąd też wypadki te mogą i muszą być uważane za wykładnik pewnego układu naszych stosunków wewnętrznych. Równocześnie muszą prowadzić do pilnej obserwacji, co w tym układzie jest chore i do szukania sposobów zwalczania choroby.

Jednym z naturalnych sposobów reakcji państwa było przeciwstawienie rozbudzonej do anarchicznego działania sile mas ludowych zorganizowanej siły, mechanicznie stojącej na straży ładu państwowego. Byłoby demagogicznym uproszczeniem wysuwanie żalów, że się tak stało. Odpowiedzialność za użycie siły państwowej przeciwko zorganizowanej sile pobudzonych do działania mas chłopskich obciążać musi w pierwszym rzędzie tych, którzy masy te do działania zmobilizowali. Lecz przywrócenie porządku przez samo zgniecenie ruchu, to jeszcze nie wszystko. Policja nie jest najtrwalszym i najlepszym elementem państwowej i narodowej jedności. Elementem tym jest przede wszystkim właściwa postawa moralna najszerszych warstw Narodu, płynąca z poczucia ich roli w Państwie i ich za Państwo odpowiedzialność.

I tutaj wypadki małopolskie muszą nasuwać szczególnie smutne refleksje. W ich świetle należałoby mniemać, że w zakresie programowego wypełniania postulatu, by nie mniejszość, ale większość była u nas Narodem, od roku 1920 nie tylko nie postąpiliśmy naprzód, lecz raczej cofnęliśmy się wstecz. Nie umieliśmy należycie rozwiązać żadnego z dwóch podstawowych elementów tego zagadnienia. A więc nie potrafiliśmy poprowadzić polityki społeczno-gospodarczej Państwa po tej linii, by chłop miał pełne poczucie, że jego potrzeby, jego prawo, jego siła liczebna i jakościowa jest zawsze w sposób należyty przez Państwo doceniona i chroniona. A równocześnie nie potrafiliśmy przezwyciężyć w masach chłopskich złej skłonności do patrzenia na chłopskie interesy grupowe i klasowe, jako na zespół interesów odrębnych i niezależnych od całokształtu interesów Państwa.

W stosunku do wypadków małopolskich musimy ze szczególną troskliwością dbać o ich należytą i nieułatwioną przez pewną jednostronność patrzenia ocenę. Tak, wypadki te rozegrały się na gruncie niedopuszczalnej i niemożliwej do tolerowania przez Państwo agitacji o charakterze partyjno-politycznym. Pod tym względem sytuacja zdaje się nie budzić żadnych wątpliwości. Ludzie, którzy na swoje sumienie wzięli krew chłopską, przelaną w sposób nie tylko bezcelowy, lecz, co więcej, stanowiący na przyszłość posiew niebezpiecznego rozdźwięku pomiędzy pewnymi przynajmniej elementami wsi i Państwem — popełnili wielki grzech, tym większy, że w danym momencie, w danym okresie naszej historii i w danej sytuacji naszego Państwa, trudno jest mówić, że była to nieunikniona konieczność i jedyna droga postępowania. Lecz równocześnie, sądząc tych ludzi z całą surowością, nie zapominajmy, że ich anarchicznego czynu nie można traktować w oderwaniu od szerszego podłoża szeregu czynów pokrewnych, pokrewnych jeśli nie zakresem zamierzeń i dążeń politycznych, to lekkomyślnością przenoszenia w nasze warunki złego posiewu najgorszych tradycji Polski szlacheckiej, według których wzniecenie zbrojnego zamętu było mniejszym złem, niżeli próba przeniesienia na grunt Polski jakiejkolwiek rozumnej myśli z zakresu doświadczeń politycznych i ustrojowych ówczesnej Europy.

Nie chcemy usprawiedliwiać nikogo z siewców anarchii na terenie wsi małopolskiej. Lecz, w imię sprawiedliwej oceny ich czynu, musimy przypomnieć, że czyn ten może różnić się skalą wyrządzonego zła, moralnie należy on jednak do tej samej kategorii gwałcenia prawa, którego świadkami jesteśmy od dłuższego czasu w najrozmaitszej formie, czy to w myślenickich zajazdach półpanków krakowskich, czy w postaci pogromów żydowskich, czy w jawnym niemal zbrojeniu się akademickich bojówek, czy wreszcie w programowym szerzeniu haseł eksterminacji w stosunku do pewnych grup obywateli Państwa. Ostrość sądu o inicjatorach zajść małopolskich może być w pełni uzasadniona, jednakże tylko w tym wypadku, jeśli nie będzie ona oderwanym przypływem surowości, lecz częścią konsekwentnego programu walki z wszystkimi przejawami anarchii i barbarzyństwa, jakie w najrozmaitszych postaciach, a w sposób niesłychanie niebezpieczny, od dłuższego czasu toczą i zatruwają życie polskie.

Pisząc o tym — i pisząc nie po raz

pierwszy — chcemy się zastrzec, że domagając się systematycznie walki z anarchią działań w Polsce, nie mamy na myśli tendencji wytwarzania policyjnego systemu, krępującego wszelką możność swobodnego rozwoju życia społecznego i politycznego w Polsce. Przeciwnie, chodzi nam raczej tylko o to, by skończyć z niebezpiecznym odwróceniem starej i wartościowej zasady, sformułowanej bodajże przez Szczepanowskiego, a stosowanej w dawnym okresie ruchu narodowego, która głosiła konieczność oparcia życia publicznego na „swobodzie myślenia, karności działania". Nie bez słuszności możnaby paradoksalnie powiedzieć, że dzisiaj przejawiają się w naszym życiu pewne skłonności do tego, by myśl polityczną Narodu ograniczyć do ram najciaśniejszych, przy równoczesnym pozostawieniu nadmiernej swobody dla nieopanowanego warcholstwa w działaniu. Stan ten — zbytecznie chyba dodawać — nie może być uważany na normalny.

*

Lecz sprawa winy i odpowiedzialności, to tylko jedna, mniej ważna, strona zagadnienia. Pozostaje strona druga — znalezienie środków, niepolicyjnych, które by skutecznie mogły odwrócić niepokojące zjawisko, że dzisiaj, w dziewiętnastym roku niepodległości, zadajemy sobie pytanie, w jakim kierunku idą uczucia i myśli tego największego składnika i zbiornika siły narodowej, jakim jest chłop polski.

Tutaj nasuwają się dwie kwestie odrębne.

W latach kryzysu gospodarczego interesy materialne wsi polskiej, w szczególności interesy materialne chłopa polskiego, zostały niewątpliwie nadmiernie zaniedbane. Na łamach naszego pisma sprawie tej parokrotnie poświęcaliśmy szczegółowe opracowania. Sprawa ta nie może być traktowana ani jako drugorzędna, ani też jako dotycząca tylko materialnego interesu pewnej grupy ludności w Polsce. Wiąże się ona niezmiernie ściśle ze sprawą naszego poziomu kulturalnego, tempa, w którym będziemy mogli uzyskiwać dla siebie wśród innych narodów Europy miejsce przypadające nam z tytułu naszej siły liczebnej.

Trzeba, aby chłop polski, szczególnie zaś młode pokolenie chłopskie, wychowane już w niepodległym Państwie i dzisiaj w życie wchodzące, miało pełne podstawy najgłębszego zaufania do Państwa, niezależnie od tego, jakie czynniki będą stać na jego czele. Chłop musi wiedzieć, że ze strony Państwa będzie zrobione wszystko, by interes najliczniejszych w Państwie mas chłopskich był podporządkowany jedynie ogólnemu interesowi Polski, nie był natomiast przedmiotem targów i wymiany dla lepszego zaspokojenia jakichkolwiek innych interesów grupowych, czy indywidualnych. Tylko w ten sposób będzie można naprawdę przełamać i przezwyciężyć w masach chłopskich nadmierną skłonność do klasowego patrzenia na sprawy państwowe, tę skłonność, która w dużej mierze jest podstawą dla dotychczasowej żywotności legendy Witosa. A równocześnie trzeba pamiętać, że tylko przez ułatwienie średniego i wyższego wykształcenia dla synów wsi, dla synów chłopskich, da się osiągnąć stan, przy którym realna odpowiedzialność tej najliczniejszej w Państwie warstwy będzie czymś więcej, niżeli tylko odświętnym i w swej odświętności wyjątkowym symbolem.

W danym momencie nie będziemy kusili się o przedstawienie programu Państwa w sprawie chłopskiej . Chodzi nam tutaj jedynie o zaznaczenie kierunku, w którym iść należy, by przezwyciężyć dotychczasowe zapory, stojące na drodze do jedynie zdrowego stanu, w którym chłop polski poczuje się do pełni swej siły nie tylko w zakresie swoich postulatów klasowych, lecz przede wszystkim w zakresie swojej odpowiedzialności za teraźniejszość i przyszłość Państwa.

*

Lecz postulaty materialnego interesu wsi, to znowuż tylko fragment sprawy.

Na przebiegu wypadków małopolskich zaciążyły przede wszystkim momenty polityczne. To też wypadków tych nie można rozpatrywać w oderwaniu od całości naszej sytuacji wewnętrznej.

Wśród dogmatów naszego wewnętrznego życia jeden zajmuje niejako miejsce naczelne, to jest dogmat, że Polska nie może pozwolić sobie na wytwarzanie, czy tolerowanie warunków wojny domowej. Ostatnie miesiące upłynęły pod znakiem szczególnie często powtarzanych słów o jedności Narodu, o konsolidacji wewnętrznej. A równocześnie wypadki małopolskie były najbardziej wymownym, bo krwawym, ostrzeżeniem, że nawet najprostsze prawdy wymagają dla swego rozwoju i dojrzewania odpowiedniej atmosfery i odpowiedniej gleby. Inaczej, rezultaty mogą być biegunowo odmienne od dażeń i przewidywań.

Hasło pokoju wewnętrznego, hasło jedności Narodu, pojętej tak, jak to przedstawialiśmy w poprzednim numerze naszego pisma, to jest niejako mechaniczny strychulec, niwelujący każdy przejaw myśli politycznej i pomniejszający warunki istotnie swobodnego rozwoju Narodu, lecz jako hasło powszechnego uznania konieczności podporządkowania wszystkiego w Państwie i wszystkiego w społeczeństwie nakazowi postępowania tak, „byśmy nigdy więcej w niewolę się nie dostali", byśmy pod żadnym względem nie pomniejszali możliwości rozwojowych Polski — to hasło w naszych warunkach politycznych powinno mieć istotnie nadrzędne i naczelne miejsce w sposobie naszego zbiorowego czucia i myślenia. W Polsce nie tylko nie ma miejsca na mobilizację sił do wojny domowej, lecz również nie ma miejsca na wyznawanie zasady „im gorzej tym lepiej". Propagowanie takiej zasady dla własnych celów politycznych w naszych warunkach może łatwo prowadzić do przekroczenia wszelkiej granicy zła, do katastrofy w skutkach swych groźnej dla Państwa.

Tymczasem, powiedzmy to otwarcie, okres ostatni naszego życia politycznego, wbrew zewnętrznej prawdzie haseł głoszonych, zaznacza się przede wszystkim mobilizacją sił do ostrej walki wewnętrznej, oczekiwaniem dwustronnym na wytworzenie się takiego stanu, który by umożliwił realizację haseł przewrotu, dającego tej czy innej stronie maksimum władzy w Polsce. Wypadki małopolskie były jednym z działań, mających ku temu prowadzić i przybliżać. Wypadki te mogą i muszą pozostać faktem możliwie oderwanym i izolowanym. Lecz jeśli tak, to nie można obojętnie patrzeć na narastanie warunków, przy których naturalnym niejako układem naszego życia politycznego będzie mobilizacja dwóch „frontów", ustalanie się ostrej linii podziału, która niejako będzie miała potencjalny charakter zakrzepniętej i czekającej na moment sprzyjający wojny domowej.

Stanowi temu trzeba przeciwdziałać w sposób energiczny, planowy i konsekwentny, przede wszystkim jednak w sposób rozumny. Trzeba sięgnąć do źródeł zła, nie ulęknąć się najbardziej nawet nieprzyjemnej diagnozy, nie ulęknąć się uznania nawet i własnej winy, nawet i własnych błędów działania.

Jednym z takich błędów, przed którymi w przeszłości przestrzegaliśmy, był niewątpliwie sposób zakreślenia celów i metod działania Obozu Zjednoczenia Narodowego, jako czynnika, który niejako przyjął na siebie odpowiedzialność za wytwarzanie warunków pokoju wewnętrznego w Polsce.

W dotychczasowej doktrynie, jak i w dotychczasowych metodach działania Obozu Zjednoczenia Narodowego, dwa są szczególnie drażliwe i wymagające wyjaśnienia punkty: 1. teoretyczna i totalistyczna teza, że obóz polityczny może być niejako synonimem Narodu, jako całości, to jest, że może w sobie pomieścić wszystko, co składa się na całość życia narodowego, w jego różnorodnych, skomplikowanych, a nieraz nawet przeciwstawnych pojęciach; 2) praktyczne dopuszczenie do tego, by w pojęciach szerokich mas utrwaliło się przekonanie, że Obóz ten — wbrew oficjalnym wypowiedziom, lecz w skutku pewnej wybranej dla niego linii — może być nietyle reprezentantem haseł nadrzędności ogólnie pojętych interesów Państwa w stosunku do wszystkich interesów grupowych i klasowych, ile ośrodkiem regeneracji obozu prawicy narodowej i społecznej w Polsce.

W ten sposób powstanie czynnika politycznego, którego zadaniem było stworzenie warunków dla planowej syntezy naszego życia politycznego, przede wszystkim przez pracę nad związaniem najszerszych mas naszego Narodu z poczuciem ich odpowiedzialności za Państwo, mogło w pewnych warunkach być wyzyskane dla spotęgowania wewnętrznego rozbicia, dla mobilizacji sił przeciwstawnych po dwóch stronach przygotowanych do walki frontów.

Usunięcie tego stanu rzeczy jest jedną z najpilniejszych i najważniejszych prac w zakresie współdziałania na rzecz pokoju wewnętrznego w Państwie.

Zbigniew Domaniewski

Anglia a kontynent

9 listopada 1886 r. oznajmił w Parlamencie ówczesny premier Salisbury, że „własne ramię Anglii będzie dostatecznie silne, aby ochraniać jej interesy, gdziekolwiek tylko zostałyby naruszone". Była to odpowiedź na naleganie niektórych członków Izby, aby Anglia, celem lepszej ochrony swych interesów, szukała sojuszników. Salisbury wypowiedział się w tych słowach za „wspaniałym odosobnieniem" Anglii.

18 lutego roku bieżącego Izba Gmin uchwaliła dodatkowe kredyty na zbrojenia, które mają być gigantyczne. Anglia, jak się wyraził w toku debaty parlamentarnej premier Baldwin, zbroi się, chcąc „powstrzymać potencjalnego napastnika"; „potęga floty brytyjskiej uczyni wkrótce wojnę niemożliwą", oświadczył minister marynarki Hoare. Z tych dwóch oświadczeń wynika, że po realizacji programu zbrojeń „własne ramię" Anglii powinno wystarczyć, aby ochraniać jej interesy we wszystkich częściach świata. Nasuwa się więc, mocą analogii, wniosek, że Neville Chamberlain, lub jego następca, mogą ewentualnie wypowiedzieć się któregoś dnia, podobnie jak Salisbury, za *splendid isolation*.

W możliwości tej tkwi zagadnienie siły i odosobnienia. Należy zapytać, czy istotnie Anglia, kiedy trzymała się w odosobnieniu, czyniła to w następstwie poczucia własnej siły? Czy istotnie *splendid isolation* — cechujące położenie polityczne Anglii od Kongresu Wiedeńskiego do ostatnich lat panowania królowej Wiktorii — było następstwem stworzenia takiej siły zbrojnej, przy której Anglia mogła nie bać się nikogo, a tym samym nie potrzebować szukać kontynentalnych sojuszników?

Fakty historyczne dają na te pytania odpowiedź przeczącą. Rok po Kongresie Wiedeńskim Castelreagh donosił Porcie, że Anglia jest „zbyt wyczerpana wojną, aby czuć skłonność do poparcia jej zbrojnie". Słaba militarnie Anglia nie przeciwstawiała się tak samo w roku 1829 pokojowi rosyjsko-tureckiemu w Adrianopolu, choć sytuacja, wytworzona warunkami tego pokoju, godziła dotkliwie w interesy mocarstwowe Anglii. Militarna niezdolność do interwencji spowodowała nawet w tym wypadku upadek gabinetu. W roku 1870 Anglia nie miała możności wmieszać się do wojny niemiecko-francuskiej. Gladstone, obejmując w roku 1868 premierostwo, miał do usunięcia deficyt budżetowy i to było przyczyną, że akurat na pół roku przed wybuchem wojny niemiecko-francuskiej wystąpił przed Parlamentem z preliminarzem, przewidującym redukcję wydatków na zbrojenia. Gdy pięć lat potem, w związku z niepokojami w Bośni i Hercegowinie, interesy Anglii wymagały zbrojnego wystąpienia przeciwko Rosji, mobilizacja próbna wykazała, że Anglia jest zupełnie niezdolna do działania. Anglia po wojnie z Napoleonem była wyczerpana gospodarczo. Potem, gdy było potrzeba, ratowała swe budżety, oszczędzając na wojsku. I w tym właśnie, a nie w sile, należy szukać genezy polityki odosobnienia, nie jako pięknie brzmiącej doktryny, lecz jako angielskiej rzeczywistości historycznej.

Korzenie tej rzeczywistości tkwią w liberaliźmie politycznym, opartym o doktrynę wolnego handlu (Cobden) i religijnoetyczny pacyfizm (Bright). Cobden uważał dążenie Wielkiej Brytanii do potęgi na morzu za wytwór zarozumiałości, a posiadanie Gibraltaru jako zamku u wrót Morza Śródziemnego za „przykład brutalnej przemocy, którego nie złagodzi żadne usprawiedliwienie". John Bright domagał się regulowania stosunków międzypaństwowych na podstawie Ewangelii i podług norm etycznych życia prywatnego. Wszyscy liberałowie jednakowo potępiali „nadmierne" wydatki na zbrojenia. Biograf Cobdena Moriey pisze, że jedynie „szybkie rozpowszechnienie się tych zasad po wojnie krymskiej było przyczyną niemożności mieszania się Anglii w wojny francusko-austriacką, amerykańską, duńską, niemiecko-francuską i rosyjsko-turecką (1877/78)". Jeśli więc Anglia stroniła wtedy od spraw kontynentu i pozostawała przez to odosobniona, to nic w tym nie było silnego, a więc politycznie wspaniałego. *Splendid isolation* należy uznać za ideał, który wynaleziono, aby ukryć pod nim mocarstwową dekadencję. Ideał ten stracił rację bytu, jak tylko przyszła nieunikniona reakcja przeciwko liberalizmowi. Już w roku 1844 Disraeli potępia, jako pisarz, abstrakcyjną doktrynalność szkoły manchesterskiej, twierdząc, że „człowiek jest wtedy tylko prawdziwie wielki, kiedy idzie za swymi namiętnościami". Anglią powinien kierować duch heroizmu, „bez którego urządzenia polityczne są mięsem bez soli, a korona zabawką". Otóż heroizm jest zaprzeczeniem odosobnienia. Późniejsza Anglia imperialistyczna, rosnąca w zbrojnej sile i nacechowana duchem heroizmu, nie mogła hołdować ideałowi *splendid isolation.* Z chwilą, kiedy siła umożliwiła jej wspaniałość, psychologia tej siły nie chciała się pogodzić z odosobnieniem. Jeśli Salisbury przedkładał Parlamentowi w lutym 1889 gigantyczny projekt budowy nowych 70 jednostek morskich, chcąc dotrzymać przyrzeczenia, że „własne ramię Anglii" będzie dość silne, aby ochraniać jej interesy; jeśli w grudniu 1893 znów wniósł do Parlamentu projekt wzmocnienia floty, a dla zrównoważenia siły flot Francji i Rosji i uniezależnienia się w ten sposób na wypadek konfliktu z Rosją od stanowiska Francji, ustalił zasadę *two power standard;* jeśli w roku 1896 pisał, że „nie ma w ogóle polityki stałej, gdyż polityka, jak wszystkie jestestwa organiczne, znajduje się nieustannie w fazie stawania się" i konsekwentnie wyznawał zasadę „wolnej ręki" — to jednak ta właśnie, jego staraniem powiększona, już potężna flota brytyjska, stała się fundamentem wiążącego sojuszu angielsko-japońskiego (1902) i *entente cordiale* z Francją (1904). Potężna Anglia nie pragnęła pozostać samotną. Salisbury — ostatni przedstawiciel polityki odosobnienia i decydowania się na działanie tylko „od wypadku do wypadku" — w pół roku po zawarciu sojuszu z Japonią wycofał się z życia politycznego. Na miejsce jego przyszedł Balfour, który, wespół z Joe Chamberlainem, będąc już w roku 1891 członkiem gabinetu, pchał Anglię do działań powiązanych, do sojuszów i ustalania odległych w czasie celów.

Ten proces historyczny powtarza się do pewnego stopnia po wojnie światowej. Wyczerpana długotrwałą wojną i zajęta gospodarczą odbudową Anglia zaczęła oszczędzać na zbrojeniach. Zrodziły się znowu utopijne idee na temat stosunków między narodami. Jak Bright, po wojnie z Napoleonem, chciał oprzeć współżycie państw na zasadach Ewangelii, tak opinia angielska po wojnie światowej pragnęła oprzeć życie międzynarodowe na ideale Ligi Narodów. Konsekwencje fałszywego pacyfizmu w obu okresach powojennych były jednakowe: przejściowe odsunięcie się od zobowiązań, wymagających siły zbrojnej, gotowej do użycia, a ostatecznie... nowe zbrojenia; jak w roku 1889, tak i w roku 1937, przyjął Parlament „wielki preliminarz" zbrojeniowy. Przypuszczajmy więc, że wzmożone poczucie własnej siły znów pchnie Anglię do sojuszów, zawieranych z myślą o odległym w czasie celu.

Tak w każdym razie można sądzić, opierając się na przesłankach, wynikających z analizy psychologii siły. Zbliżenie się Anglii do innych mocarstw, a szczególnie mocarstw kontynentu i związanie się z nimi sojuszniczymi więzami, daje się przewidywać również na podstawie analizy ewolucji warunków materialnych siły. W XVIII stuleciu Wilhelm III twierdził, że „Anglia nie jest częścią, tylko sąsiadką Europy". Anglia miała nie być częścią Europy ze względu na swą wyspiarską naturę, dającą jej niezależne od kontynentu położenie mocarstwowe. Tak było przy okrętach żaglowych. W wieku następnym, w roku 1848, premier

Palmerston zmuszony był przekonywać Anglików, że „Kanał (La Manche) nie jest już żadną barierą; wynalezienie żeglugi parowej uczyniło to, co poprzednio było dla siły zbrojnej nieprzyjaciela nie do przebycia, niczym innym, jak rzeką". Z wynalezieniem żeglugi parowej wzrosła ogromnie zdolność manewrowania okrętów. Wzrosły tym samym i szanse, że flota nieprzyjacielska, operując z pobliskich wybrzeży kontynentalnych La Manche, wysadzi w Anglii desant. Dziś lotnicze jednostki bojowe przeciwnika kontynentalnego mogą przebyć tę „rzekę", nie mając do pokonania żadnych przeszkód naturalnych. Powietrze, czy nad wodą, czy nad lądem, jest drogą bez przeszkód.

Rozwój żeglugi parowej spowodował tylko, że odwieczna troska Anglii, aby Belgia i Holandia nie dostały się w ręce jakiegoś wielkiego mocarstwa, jeszcze się wzmogła. Rozwój lotnictwa posiada natomiast dla stosunku Anglii do przyległego kontynentu konsekwencje przełomowe. Widać je wyraźnie w projekcie „paktu lotniczego" Europy Zachodniej, lansowanym przez Anglię w roku 1935, pod wrażeniem niemieckich zbrojeń lotniczych. Państwa, biorące udział w pakcie, — Anglia, Francja, Niemcy, Belgia, Holandia, Dania — zobowiązałyby się śpieszyć z pomocą ze swym lotnictwem i oddać do dyspozycji swe bazy lotnicze ofierze napaści. Jak pisze generał N. Golowin, „ochrona przeciwlotnicza Anglii byłaby znacznie utrudniona, jeśliby stanowiska obserwacji nieba znajdowały się zbyt blisko Londynu, na terytorium angielskim. Dla skutecznej obrony należałoby przesunąć te stanowiska co najmniej o 100 mil angielskich. Jasne jest, jak wartościowy podarunek mogłaby uczynić strategii angielska dyplomacja, gdyby stworzyła warunki, w których obserwacja niebios mogłaby być przeniesiona na kontynent. Choć pakt lotniczy teoretycznie nie zwraca się przeciwko żadnemu określonemu państwu (Niemcom), stwarza korzystne warunki dla ochrony Anglii przed ewentualną napaścią z powietrza. Propagowana przez Anglię konwencja lotnicza pozwala jej na obserwację terytoriów Francji, Belgii, Holandii i Danii. Rozszerza nadzwyczaj obszar obrony przeciwlotniczej i umożliwia Anglii przeniesienie działań jej floty powietrznej na niebiosa kontynentu". Anglia zaczyna się więc spajać z przyległym kontynentem. Na sposób dyplomatyczny stara się zrobić tożsamo, co Japonia uczyniła w Azji gwałtem. Japonia, tworząc Mandżutikuo, kierowała się przede wszystkim myślą o uzyskaniu kontynentalnego bastionu obrony przeciwlotniczej sąsiednich wysp. Anglia stara się przenieść swe granice strategiczne na kontynent przez stworzenie paktu lotniczego, który dawałby jej wolny dostęp do cudzych baz lotniczych na kontynencie. Pod wpływem ewolucji warunków materialnych siły, jedno i drugie mocarstwo było zmuszone — co najmniej w sensie strategicznym — porzucić swe macierzyste wyspy, ową odwieczną skorupę ślimaka i wyjść w otwarty świat kontynentalny.

Anglia wychodzi ze swej skorupy na kontynent w bieżącym stuleciu już poraz drugi. Przy tradycjonaliźmie, jaki cechuje metody angielskiej polityki zagranicznej, warto rozważyć bliżej, na jakich to podstawach strukturalnych opierała się *entente cordiale* z roku 1904. Początkowo, w okresie celowego odosobnienia Anglii, w XIX stuleciu, stosunek Anglii do Francji kształtował się pod znakiem obawy, że Francja zwiąże się z Rosją i uzyska w ten sposób silną w stosunku do Anglii pozycję mocarstwową. Zarówno Castelreagh, jak i Palmerston, stawali przed koniecznością takiego manewrowania dyplomatycznego na płaszczyźnie europejskiej, żeby Francja widziała więcej korzyści we współdziałaniu z Anglią niż z Rosją. U źródeł *entente cordiale* odnajdujemy więc chęć trzymania Francji zdala od mocarstwa, które zagrażało Anglii na płaszczyźnie wszechświatowej. W dalszym ciągu zabijająca konkurencja, jaką eksport niemiecki czynił na całym świecie angielskiemu, oraz wszechświatowe plany mocarstwowe Wilhelma II postawiły Anglię wobec możliwości wojny z Niemcami. Wtedy Anglia zbliżyła się do Francji jako do mocarstwa dynamicznego, posiadającego z przypuszczalnym przeciwnikiem Anglii kontrowersje terytorialne, a więc potencjalnego sojusznika, gotowego do wojny. Wreszcie zbliżenie się do Francji było dokonane na gruncie dokładnego rozgraniczenia stref ekspansji.

I dzisiaj stosunek Anglii do mocarstw kontynentu wynikać będzie z podobnych elementów przyczynowych jej stosunku do możliwego przeciwnika wszechświatowego. Kto jest takim przeciwnikiem? Włochy czy Niemcy? Założymy tutaj, że Włochy, a w dodatku założymy — opierając się na wnioskach naszego poprzedniego artykułu — że Anglia może być zmuszona pierwsza uderzyć zbrojnie we Włochy. Które więc z mocarstw kontynentalnych jest dziś naturalnym sojusznikiem Anglii? — W każdym razie mocarstwo dynamiczne, zdecydowane w razie czego do wojny z Włochami. Francja, jeśli tylko Włochy nie okażą zakusów na jej tereny kolonialne, takim mocarstwem nie jest i nie będzie. Jest ona, przeciwnie, państwem, które zdolne jest do wszelkich możliwych wysiłków i poświęceń, ale tylko w celu zachowania pokoju. Kiedy przyszłaby — lub, kiedy przyjdzie chwila, w której Anglia podniesie żelazną pięść, aby uderzyć nią w podnoszący się groźnie łeb imperializmu włoskiego, wtedy Francja może być dla Anglii tylko przeszkodą. Dla Anglii nasuwa się więc w stosunku do Francji nie tyle problem sojuszu, ile problem starań, aby Francja nie była zbyt mocno związana z Włochami. Jednym słowem stosunek Anglii do Francji w nadchodzących latach powinien należeć do rozdziału kontynentalnej polityki zagranicznej Anglii, poświęconego izolowaniu Włoch. Drugi rozdział, poświęcony szykowaniu sobie sojusznika w uderzeniu zbrojnym na Włochy, może być tylko wypełniony pozyskiwaniem Niemiec dla frontu przeciwwłoskiego. Niemcy są właśnie państwem dynamicznym, gotowym do wojny i posiadającym z przypuszczalnym przeciwnikiem Anglii kontrowersję terytorialną: o Austrię i części Tyrolu włoskiego z ludnością niemiecką.

Obu wspomnianym rozdziałom kontynentalnej polityki zagranicznej Anglii odpowiadają „pakty wzajemnej pomocy", jakie dyplomacja angielska sugeruje dla Europy Zachodniej. Jeden byłby zawarty między Anglią, Francją i Niemcami i zawierałby może konwencję lotniczą, wprowadzającą w ramy angielskiego systemu obronnego Belgię, Holandię i Danię. W myśl koncepcji paktu Londyn — Paryż — Berlin, Francja musiałaby bronić Anglii w razie, gdyby zaatakowały ją Niemcy. Gdyby Niemcy zaatakowały Francję, broniłaby jej Anglia. W pakcie lokarneńskim Francja miała nadto zapewnioną pomoc włoską, solidarną i równoczesną z angielską. Tym jednak razem Anglia stara się oddzielić Francję od Włoch, stara się wprowadzić Francję w jak największą zależność od siebie. A więc pakt Londyn — Paryż — Berlin odpowiada: bezpieczeństwu własnemu Anglii i izolowaniu Francji od Włoch. Równocześnie z tym paktem zawartoby — w myśl koncepcji dyplomacji angielskiej — pakt wzajemnej pomocy między Włochami, Francją i Niemcami. W jaki sposób gwarantowałby on bezpieczeństwo Włoch? Teoretycznie w razie gdyby np. Niemcy zaatakowały Włochy (z powodu Austrii), Francja pośpieszyłaby im z pomocą, a w razie ataku Francji, śpieszyłyby Włochom z pomocą Niemcy. Ale w razie zaatakowania Włoch przez Anglię, w systemie paktów, jakie proponuje Anglia, Włochy nie mają zapewnionego żadnego obrońcy. Na ten wypadek Anglia sugeruje Włochom jako „bezpieczeństwo" porozumienie dwustronne; pod tą etykietą widzimy oczywiście angielskie kredyty zbojeniowe. Jednak Anglia, można być pewnym, sama jedna z Włochami nie będzie wojować. Sama może co najwyżej zacząć wojnę. I wtedy na porządek dzienny wypłynie odrazu kwestia Austrii i części Tyrolu włoskiego z ludnością niemiecką. Wprawdzie przy koncepcji paktu Rzym — Paryż — Berlin Francja teoretycznie będzie musiała zaatakować Niemcy z chwilą ich napaści na Włochy. Ale praktycznie oznaczałoby to dla Francji konieczność prowadzenia wojny wespół z Włochami przeciwko Anglii i Niemcom. Jest to absolutnie nie do pomyślenia. Biorąc więc rzecz praktycznie, widoczne dążenie Anglii do ustalenia stosunków w Europie Zachodniej na gruncie paktów Londyn — Paryż — Berlin i Rzym — Paryż — Berlin oraz paktu bilateralnego

Londyn — Rzym, oznacza przygotowywanie warunków dla ewentualnej wojny z Włochami, z udziałem Niemiec, a przy neutralności Francji.

Doohodzimy do wniosku, że Europa stoi na progu ewolucji, która może doprowadzić do dwóch kardynalnych faktów: 1) skrępowanie przez Anglię swobody ruchów Francji, 2) *Entente cordiale* angielsko-niemieckiej. Ziściłyby się w ten sposób pragnienia Joe Chamberlaina, aby stworzyć potężny blok germańsko-anglosaski dla rządzenia światem. Pod koniec ubiegłego stulecia pragnienia te rozbiły się o uniwersalno-morskie aspiracje mocarstwowe Niemiec. Czy przeszkoda ta dziś jeszcze istnieje, czy i dziś nie dałoby się, jak to uczyniły w roku 1904 Anglia i Francja, nawiązując *entente cordiale*, rozgraniczyć stref ekspansji obu ewentualnych partnerów? Na ten temat pisaliśmy w artykule „Teza dr. Schachta" w Nr. 23 „Narodu i Państwa". Analizowaliśmy tam powody, dla których nie sądzimy, by Niemcy pragnęły odzyskać dawne kolonie dla cementowania swej budowli mocarstwowej. Uzasadnialiśmy, że rewindykacje kolonialne, wysuwane pod hasłem potrzeb żywnościowych i surowcowych Rzeszy, nie mają dziś nic wspólnego z tym, co za czasów Wilhelma II nazywano „szukaniem dla Niemiec swego miejsca w świecie". Tym razem Rzesza pragnie za morzem dóbr gospodarczych. Dóbr mocarstwowych szuka Rzesza w Europie Południowo - Wschodniej i Środkowo-Wschodniej. Mitteleuropa, a nie imperium oceaniczne, jest dziś hasłem rozwojowym Niemiec. Rozgraniczenie stref ekspansji mocarstwowej Anglii i Niemiec i stworzenie przez to jednego z głównych warunków dla rozwiązania *entente cordiale*, jest więc możliwe *).

Najważniejszym czynnikiem, u t r u d n i a j ą c y m porozumienie Anglii i Niemiec i nawiązanie serdecznego porozumienia, byłyby wschodnie sojusze Francji. Francja jest Anglii potrzebna. W żadnej koncepcji „serdecznego porozumienia", czy sojuszu z Niemcami, bezpieczeństwo Anglii nie może być zdane na łaskę niemieckiej przyjaźni. W sytuacji takiej Anglia grałaby w duecie drugie, a nie pierwsze skrzypce. Otóż ze względów, wyrażonych w projektowanym pakcie Londyn — Paryż — Berlin i w konwencji lotniczej, Anglia potrzebuje, dla zapewnienia sobie bezpieczeństwa, francuskiej przeciwwagi przeciwko siłom powietrznym Niemiec i zapewnionego w każdej chwili dostępu do baz lotniczych Belgii, Holandii i Danii. Nie chcąc wzbudzić nieufności i niechęci małych państw Europy Zachodniej, musi unikać pozorów handlowania losem małych państw Europy Wschodniej. A to znów czyni tym trudniejsze znalezienie kompromisowego wyjścia z pomiędzy młota i kowadła — niemieckiego i francuskiego systemu hegemonijnego Europy politycznej środkowowschodniej.

Wszystko dziś łączy Anglię z Europą. Łączy Anglię rosnące ze zbrojeniami poczucie siły i znaczenia, psychologicznie sprzeczne ze stanowiskiem odosobnionego. Łączą ją konieczności strategiczne, wynikające z postulatów obrony przeciwlotniczej przed ewentualną napaścią mocarstwa kontynentalnego. Łączy ją potrzeba szukania sojuszu na przewidywany dzień decydującej rozprawy z Włochami. A wynikające stąd wtórne względy polityczne czynią z niej nie tylko integralną, ale i c e n t r a l n ą część europejskiego kontynentu.

*) Warto zacytować następujący fragment dr. Rudolfa Kirchera, redaktora naczelnego „Frankfurter Zeitung" (29.VIII), osobistości, wyrażającej często poglądy Urzędu Spraw Zagranicznych Rzeszy: „...oba te narody, które — mimo pewnej konkurencji — posiadają zasadniczo różne, a więc łatwo dające się pogodzić, cele życiowe i misje polityczne, i których wodzowie, przynajmniej w Niemczech, nauczyli się widzieć i rozpoznawać obustronne zadania (jak nieskończenie ważna jest przy takich rozpatrywaniach, właśnie w porównaniu z czasami przedwojennymi, niemiecko - angielska umowa flotowa), oba te narody, które dla rozwoju Europy w dwudziestym stuleciu będą ważniejsze niż cokolwiek innego, oba te narody, które wespół z ich zdolnością twórczą i potęgą (nawet z angielsko - francuskim sojuszem) istnieją jako realności i zawsze istnieć będą, — oba te narody widzą się rozdzielonymi nie przez rzeczywiste konflikty i niedające się pogodzić przeciwieństwa, tylko przez prosty fakt, że jeden naród uznał tę, a drugi inną, narodową drogę wychowawczą za odpowiednią dla niego i że jeden naród wyznaje ten, a drugi inny światopogląd". Dodamy nawiasem, że w artykule R. Kirchera, ani razu nie jest wspomniana „oś Berlin — Rzym". Widocznie nie jest ona w ocenie niemieckiego publicysty elementem sytuacji międzynarodowej, mogącym utrudnić czy ułatwić pryncypialne uregulowanie stosunków między Anglią a Niemcami.

M. S.

Dwugłos w sprawie małżeńskiej

Burza wywołana uchwalonym w 1929 r. przez Komisję Kodyfikacyjną projektem prawa małżeńskiego przycichła.

Rozpętały ją, jak wiadomo, stojące u podstaw projektu trzy zasady:

1) fakultatywnych ślubów cywilnych,
2) rozwodów w ograniczonym zakresie,
3) świeckiej jurysdykcji małżeńskiej,

trzy zatem kwestie fundamentalne, trzy w świetle dogmatyki katolickiej „tabu", których najdrobniejsze choćby naruszenie zagrożone jest w uchwałach soborów i bullach papieskich rygorem najostrzejszym: „niech będzie wyklęty".

Osiem lat upłynęło, jak przygłuszony wrzawą przywarł projekt gdzieś pod suknem, a w zagęszczonej jeszcze bardziej atmosferze przywarła wraz z nim burza.

Że przywarła tylko, że wcześniej czy później grozi nowym wyładowaniem, że spiętrzone przeciwności wcześniej czy później zetrzeć się muszą w nowym gwałtowniejszym może jeszcze wybuchu, — nie od rzeczy wydaje się, korzystając z chwilowego rozejmu, zebrać plon dotychczasowych doświadczeń, zanalizować i zestawić głosy, jakie padły „za" i „przeciw", oddzielić ziarna prawdy od wiecowo-jarmarcznej plewy i w perspektywie czasu wyrobić sobie spokojny, trzeźwy, skrystalizowany sąd.

Sięgając w samo zaranie sprawy, do schyłku 1925 r., w którym to czasie omawiany projekt ujrzał światło dzienne, jako przyjęty dopiero przez Kodyfikacyjną Podkomisję przedprojekt, zanotować wypadnie na wstępie charakterystyczny wielce, bo z biegunowo różnych obozów, wywodzący się dwugłos.

Mamy tu na myśli dwie równolegle ogłoszone broszury: jedną pióra wolnomyśliciela i znakomitego filologa, nieżyjącego już prof. J. Baudouin de Courtenay *), drugą żarliwego, w świetle własnych wyznań, katolika, — krakowskiego prawnika — Andrzeja Hankowskiego **).

Zestawienie głosów przedstawicieli tych dwóch przeciwstawnych sobie światopoglądów daje pouczający i nie pozbawiony praktycznego znaczenia materiał.

Ścierając bowiem ostre kanty formy, w jakie niejednokrotnie każe prof. Baudouin ujmować myśli niepowściągliwy jego temperament pisarski, dochodzimy do wniosku, iż pomimo nieprzejednanych zdawałoby się stanowisk obu zwalczających się stron istnieją i to w kwestiach b. istotnych punkty styczne, które przy pewnej dozie dobrej woli stworzyć by mogły podstawę do b. wydatnego pchnięcia naprzód kapitalnego zagadnienia reformy małżeńskiej.

Oto jak np. zapatruje się Baudouin de Courtenay — ów krańcowy w opinii pewnych kół wróg Kościoła — na podstawową ***kwestię charakteru małżeństwa:***

„..... ma on (Kościół), pisze on na str. 7 powołanej broszury, niezaprzeczone prawo i obowiązek domagania się, ażeby jego prawdziwi i szczerzy wyznawcy, — a tacy przecież istnieją i istnieć będą, — mogli bez żadnych przeszkód odbywać wszelkie praktyki religijne, a więc także zawierać śluby małżeńskie przed ołtarzem ze wszystkimi wynikającymi stąd następstwami wyznaniowymi".

„Jedynym wyjściem z gorszących konfliktów, prowadzących do kompromisów z sumieniem i do nieszczerości, jest, czytamy na innym miejscu (1. c. str. 6), oddanie każdemu tego, co mu się należy, „oddanie Bogu tego, co boskie, a cesarzowi tego, co cesarskie", ...jest oddanie strony społecznej,

*) J. Baudouin de Courtenay: „Wyznaniowe i poza wyznaniowe śluby i rozwody". Warszawa, 1926.

**) Andrzej Hankowski: „Jak otrzymać rozwód" Kraków, 1926.

ogólnie obywatelskiej, małżeństwa i związanych z nim wydarzeń w życiu jednostek i rodzin urzędom świeckim, a strony wyznaniowej, religijnej, o ile jej potrzebują zainteresowane jednostki, urzędom duchownym".

„O ile obywatele i obywatelki pozostaną katolikami, lub o ile w dalszym ciągu będą udawali katolików, nikt nie będzie odbierał ich związkom małżeńskim charakteru wyznaniowego i sakramentalnego, ale obok tego, jako zwykli obywatele, będą musieli dopełnić formalności, wymaganych przez Państwo" (l. c. str. 17).

W tej samej sprawie, Andrzej Hankowski (l. c. str. 29), wysunąwszy swój projekt rozwiązania kwestii, o czym później, wypowiada się, jak następuje:

„...Kościół, nie odstępując od zasady nierozerwalności małżeństwa, przeciąłby wrzód, który wzbiera i doprowadzić może do fatalnych następstw. Państwo zaś nie potrzebowałoby wówczas wprowadzać prawa rozwodowego i mogłoby poprzestać *na rejestracji małżeństw zawartych* oraz *wprowadzeniu* t. zw. ślubów ewentualnych, polegających na tym, że osoby nie wyznające żadnej religii lub nie należące do żadnej spośród istniejących na danym terytorium organizacji wyznaniowych zawierają małżeństwo przed urzędnikiem państwowym".

W drugiej zasadniczej kwestii nierozerwalności węzła małżeńskiego oraz łączącej się z nią kwestii religijnego i obywatelskiego wychowania dzieci w „świętości życia rodzinnego" — prof. Baudouin wywodzi (l. c. str. 11):

„Jeżeli dwoje ludzi różnopłciowych, poznawszy się bliżej, nie może się znosić i woli się rozejść, tylko brutalna przemoc może ich zmusić do mieszkania pod jednym dachem. W stopniu nie mniejszym odnosi się to także do jednej ze stron. Żona maltretowana przez męża, lub odwrotnie, mąż dręczony przez żonę ma nie tylko prawo, ale nawet obowiązek przed własnym sumieniem uwolnić się od tyrana i chama, albo też od jędzy i sekutnicy. Przykuwać kogoś do zbrodniarza, zwyrodnialca, nikczemnika, lub wogóle osobnika psychopatycznego jest zbrodnią i cynizmem".

„O ile z takiego nieszczęśliwego małżeństwa zrodziły się dzieci, to powoływanie się na ich istnienie nie zmienia w niczym prawa do rozwodu. Przeciwnie, właśnie ze względu na dzieci, dla niezatruwania ich dusz i dla niegorszenia ich widokiem objawów wzajemnego wstrętu rodziców, dla uniknięcia choćby tak zwanej „obrazy boskiej", związanej z takimi widowiskami i gorszącymi scenami, należy je wyrwać z tego piekła rodzinnego i przenieść do środowiska spokojnego i pogodnego".

Na ten sam temat Andrzej Hankowski wypowiada się, jak następuje:

„Zachodzi pytanie, co zrobić mają małżonkowie tacy, którzy absolutnie ze sobą żyć nie mogą. Albo co zrobić ma jedna strona, jeśli druga wkrótce po ślubie ucieknie od niej, jak to często się zdarza i zamieszka z kim innym „na wiarę".

„...Kościół powiedziałby „poświęcenie". O tak, poświęcenie, to piękna rzecz. I nie można narzekać, aby komukolwiek świat przeszkadzał się poświęcać..... Brama do składania ofiar jest zawsze otwarta. Ale ten, kto bierze do ręki pióro prawodawcy, aby pisać prawa i wskazania moralne dla ogółu ludzkiego, musi się liczyć nie z naturą świętą, ale ze zwyczajną, bierze pióro do ręki nie po to, aby jedne grupy ludzkie przeznaczać na łup innym, lecz aby wziąć pod opiekę prawo do życia i do szczęścia każdej jednostki".

„Żądać od ludzi można tylko spełnienia obowiązku, poświęcenie jest wolnym darem duszy, jej łaską, wymagać go można tylko od siebie, tylko swoją krwią można szafować, na cudzą wypada być oszczędnym".

„...Seperacja — czytamy na str. 16 — to właściwie duchowne (l. c. str. 16) pchnięcie na drogę niemoralności, konkubinatów, płodzenia dzieci nieślubnych", to — (l. c. str. 25) „Kościelna legalizacja nieprawych związków".

„Jeżeli zamiast miłości i zgody między małżonkami, zamiast światła i ciepła — będzie nienawiść, gniew, kłótnie, bójki, zdrady i łajdactwa, wzajemne wyśmiewanie i wywlekanie na światło dzienne najwstrętniejszych brudów, czy i wówczas — konkluduje na str. 21 — wskazane będzie kształcenie serca i charakteru dziecka w podobnej atmosferze?".

Jak widzimy w ogólnej diagnozie i w bodajże jednako druzgocącej krytyce tego, co jest, obaj autorzy są zadziwiająco zgodni.

Różnice istotne wystąpią dopiero później — w doborze środków terapii.

Prof. Baudouin stoi na nieprzejednanym stanowisku rozwodów w ramach świeckiej jurysdykcji małżeńskiej, nie wyłączającej zresztą orzecznictwa wyznaniowego, pomyślanego, jako czysto wewnętrzna instytucja istniejących Kościołów. — W rozwodach, w świeckim charakterze małżeństw i w świeckiej w zakresie ich jurysdykcji upatruje lekarstwo jedyne:

„...„w imię bezwzględnej tolerancji, sądy wyznaniowe—wywodzi na str. 4—mogą pozostać, ale tylko jako instytucja prywatna tego lub owego wyznania. Kto w sprawach świeckich uznaje nad sobą władzę Kościoła, ten oczywiście i nadal będzie się zwracał do sądów wyznaniowych. Przecież dla żyda prawowiernego autorytet cadyka lub rabina jest jedynym uznawanym przezeń autorytetem".

A. Hankowski, jako wierny syn Kościoła, nie może oczywiście iść tak daleko. Przeciwstawia się kategorycznie rozpowszechnionym na zachodzie postaciom rozwodów, w szczególności rozwodom z byle przyczyny, ale z drugiej strony wdaje się również w polemikę z przedstawicielami Kościoła i zbija np. utarte ich twierdzenia, jakoby główną przyczyną postępującego upadku życia rodzinnego było właśnie dopuszczenie w większości państw obcych prawa rozwodowego *).

Twierdzenie to w imię prawdy przepuszcza przez filtr statystyki.

I cóż się okazuje? Że gdy oto w Belgii w 1922 r. na 7 milionów mieszkańców, rozwodów było 8.708, we Francji w 1922 r. na 39 milionów mieszkańców — 32.557, w Niemczech w 1922 r. na 60 milionów mieszkańców — 36.587, wreszcie w Stanach Zjednoczonych Ameryki w 1921 r. na 109 milionów mieszkańców — 148.554, — u nas w tym samym mniej więcej czasie, ściślej w 1925 r., w obrębie samych tylko województw środkowych i wschodnich, a więc w obrębie mocy obowiązującej prawa, rozwodów właśnie względem katolików nie dopuszczającego — rozwodów takich, t. j. uzyskanych w drodze odstępstwa od wiary przez samych katolików, na 1/3 całego terytorium Rzeczypospolitej, liczącej 15 milionów mieszkańców — było 25.000!

Pomimo takich i t. p. ustaleń Hankowski nie może zdecydować się na przyjęcie konkluzji baudouinowskich.

Przed wstąpieniem na drogę radykalnych rozwiązań w kierunku powszechnej świeckiej jurysdykcji rozwodowej wstrzymuje go szczerze wierzące sumienie, głęboko zakorzeniona, odwieczna polsko-katolicka tradycja.

Szuka więc innego wyjścia i w własnym przynajmniej przekonaniu znajduje je na drodze reform, wszakże nie tyle prawa świeckiego, jak przede wszystkim kanonicznego.

Wysoce oryginalna, a mało naogół znana koncepcja ta, niechaj, choć w skrótach, własnymi przemówi słowami autora:

„...„Należy rozszerzyć przyczyny unieważniające małżeństwo".

Prawo do tego Kościół ma, gdyż Sobór Trydencki (ses., 24. Kan. 44. 12) mówi:

„Jeżeliby kto twierdził, że Kościół nie mógł ustanowić przeszkód unieważniających małżeństwo lub pobłądził w ich ustanowieniu, niech będzie wyklęty".

A ks. Podoleński **) najwyraźniej pisze: „Kościół może przeinaczać jedynie te prawa, które sam wydał; ....może przekształcać poboczne przepisy i warunki, usuwać jedne, a wprowadzać drugie, odpowiednio do wymagań czasu i tak zawsze czynił, ale dalej mu iść nie wolno....."

„Obecnie — rozumuje dalej Hankowski — przeszkód unieważniających małżeństwo jest 17".

„Jedna z tych przeszkód gwałtownie domaga się zmiany, a mianowicie: błąd czyli pomyłka. Przeszkoda ta polega na tym, że ktoś zawierając związek małżeński pomylił się co do osoby lub jej istotnego przymiotu, np. ktoś nie zna osobiście swojej narzeczonej, podsuwają mu starszą siostrę, z którą rzeczywiście zawiera małżeństwo. Według prawa Kanonicznego małżeństwo to jest nieważne".

„Jasną jest rzeczą, że błędy podobne mogły się zdarzyć w wiekach średnich, a nie dzisiaj".

„Dzisiaj natomiast mylą się nowożeńcy często co do swoich charakterów, usposobień, przymiotów i zalet serca, słowem popełniają błąd nie co do ciała, a co do duszy...... Te jednak pomyłki nie są podciągnięte pod wspomniane prawo. A czyż czasy obecne nie wymagają ich zmiany? Czyż nie są one stokroć ważniejsze, niż błąd co do osoby".

„Bo jeśli np. weźmie ktoś ślub z najstarszą córką rodziny zamiast najmłodszą i małżeństwo to, choćby okazało się później najzgodniejsze i najszczęśliwsze, jest nieważne, to czyż okropna pomyłka co do duszy nie powinna stokroć więcej unieważniać małżeństwa?"

„Czyż nie czytamy na każdej niemal stronicy Nowego Testamentu, że dusza ważniejsza jest od ciała, że o nią przede wszystkim troszczyć się trzeba, że ją kłaść należy na czele wszystkich pociech swoich? Czyż więc błąd co do duszy jako przeszkoda unieważniająca nie byłby zgodny z duchem nauki Chrystusowej?" (l. c. str. 25 i nast.).

Tyle, w ogólnych zarysach, Hankowski. Notując ze sprawozdawczego poniekąd obowiązku, jaki wytknęliśmy sobie na wstępie, przytoczone myśli, oddajemy je pod sąd światłej opinii, jako przyczynek do sprawy bądź co bądź interesującej.

Ze swej strony nie wdając się w ocenę realności i skuteczności przedstawionej koncepcji, lecz idąc po linii rozumowań autora, ograniczymy się tu tylko do uwagi, że cel przezeń zamierzony osiągnąć dałby się ewentualnie i bez uciekania się do nowelizacji kanonów, a w drodze po prostu logicznej (rozszerzającej) ich wykładni.

Pod pojęciem „osoby" rozumieć bowiem należy całość organiczną, obejmującą nietylko fizyczną, ale i duchową stronę.

Osoba, której przypisuje się określone cechy psychiczne, a która z czasem cech tych okazuje się wyzbyta w głębszym takim ujęciu rzeczy, osobą tą samą nie jest.

Ale nie przekraczajmy zakreślonych ram artykułu, zwłaszcza, że godnych zarejestrowania pozostało jeszcze głosów nie mało. O nich jednak i o ogólnych na temat ten wnioskach — kiedyindziej.

*) Z argumentem tym rozprawia się w sposób równie przekonywujący prof. Karol Lutostański w swym uzasadnieniu projektu prawa małżeńskiego (por. Zasady projektu prawa małżeńskiego, wydanie Komisji Kodyfikacyjnej, podsek. I. prawa cyw., tom I, zeszyt 3, Warszawa 1931).

**) Mowa tu o pracy Ks. Stanisława Podoleńskiego, jezuity p. t. „Rozwód a zdrowie narodu", str. 182.

Konstanty Troczyński

Wojna i pokój

Rzecz o nienapisanej epopei polskiej roku 1920.

„Redakcja jest redukcja"
Norwid.

I.

„Wojna i pokój" Lwa Tołstoja jest wśród epopei europejskich zjawiskiem wysoce niepokojącym. To co wiemy o podstawach klasycznego eposu, i to co było ideałem wszystkich nowoczesnych twórców, z formą eposu się próbujących, w dosadny sposób nie zostało przez Tołstoja zrealizowane. Epos jego opiera się na jakichś n o w y c h podstawach, sprzecznych z tradycją literatury europejskiej. Wskutek tego „Wojnę i pokój" Tołstoja przeciwstawić możemy „Błogosławieństwu ziemi" Hamsuna. O ile u Hamsuna znajdujemy w czystej formie szkielet klasycznego eposu odziany tylko w swoistą szatę norweskiego folkloru, o tyle u Tołstoja tylko faktura powieści odpowiada formalnemu kanonowi eposu. Szkielet konstrukcyjny jest czymś zupełnie odmiennym, od tradycji formalnej gatunku odległym.

Wrażenie nowości konstrukcyjnej „Wojny i pokoju" potwierdza analiza tego arcydzieła. U podstawy eposu Tołstojowskiego tkwi z d u m i e n i e. Zdumienie to wyraża się w formule niewątpliwego paradoksu historycznego: jakim prawem moralnym Rosja w r. 1812 odniosła zwycięstwo nad Napoleonem? To pytanie jest podstawą konstrukcyjną powieści. Tołstoj poszukuje odpowiedzi poprzez — w artystycznej formie dokonywany — rozrachunek moralny. Nie obchodzi go k l ę s k a Napoleona, on szuka usprawiedliwienia rosyjskiego z w y c i ę s t w a. Dokonuje przeglądu wartości moralnych, które by zasadnie przeciwstawić można wartościom moralnym idei napoleońskiej. Z ogólnego punktu widzenia dokonywa się w tej epopei konfrontacja Rosji, jako formacji politycznej europejskiej, z najwyższą ideą polityczną Europy: koncepcją Cesarstwa Zachodniego. W dziejach Europy idea Cesarstwa Zachodniego jest, obok chrześcijaństwa, jedyną twórczą myślą konstrukcyjną w wymiarach kontynentalnych. Idea ta, mająca w Napoleonie ostatniego swego przedstawiciela, zbankrutowała u bram płonącej Moskwy. Tołstoj doskonale rozumie znaczenie tej klęski dla politycznego statutu Europy. Jasno także widzi sytuację historyczną, w której ośrodkiem politycznym Europy stała się Rosja. Daleki jest jednak artysta od dumy i radości. Nacjonalista nie dochodzi do głosu w tej chwili, tak w historii rosyjskiej upajającej. Raczej przeciwnie, głos zabiera k r y t y k i filozof historii, z bólem i ze zdumieniem roztrząsający wewnętrzną pustkę triumfu. Tołstoj w „Wojnie i pokoju" wykazuje brak moralnych podstaw zwycięstwa rosyjskiego, podobnie jak Nietzsche w „Niewczesnych rozważaniach" śmieje się z triumfu pruskiego buta nad francuską myślą. I teraz doskonale rozumiemy nowość estetyczną epopei Tołstoja. Podstawą klasycznego eposu jest uwznioślenie: mitologizacja rzeczywistości historycznej. Podstawą „Wojny i pokoju" jest krytyka faktu w rzeczywistości historycznej wzniosłego. Nie epopeą więc literacką jest dzieło Tołstoja, jest ono krzywym zwierciadłem krytyki, ustawionym na poprzek epopei historycznej.

II.

Z tego punktu widzenia rozpatrywana powieść Tołstoja jest rzadkim przykładem niepospolitej odwagi artysty. Przeciwstawić się argumentom faktu dokonanego, będącego najświetniejszym faktem historii narodowej, wskazać na wewnętrzną pustkę tego, z czego naród rosyjski wyrósł jako potęga, dać druzgocącą krytykę tej potęgi, wykazać przypadkowość historyczną wielkiego zwycięstwa, a równocześnie rapsodu czy dumy historycznej nie sprowadzić do wymiarów farsy czy operetki, tego wszystkiego mógł dokonać tylko artysta wyjątkowo i bohatersko odważny. I dobrze świadczy o umysłowej kulturze rosyjskiej fakt, że w jej środowisku mogło powstać dzieło tego rodzaju i że mogło ono zająć w literaturze rosyjskiej to miejsce, które istotnie zajęło.

Przy rozważaniu tego zjawiska nasuwa się nieodparcie pewne kłopotliwe dla Polaka porównanie: sienkiewiczowska „Trylogia". Sienkiewicz najboleśniejsze, najwstydliwsze nawet fakty historii polskiej potrafi zmitologizować i uwznioślić w formie eposu. Tołstoj, przeciwnie, chwile wielkiego triumfu i zwycięstwa rosyjskiego sprowadza niemal do nicości. Porównanie to może być dla nas nie tylko kłopotliwe, ale i bolesne. Czyż bowiem nie jest słabością narodu, jeśli własną historię przesłania formą nieodpowiedzialnej przed prawdą dziejową sztuki. Lecz przy tym porównaniu, abstrahującym zresztą od różnic artystycznego i filozoficznego stanowiska obu porównywanych autorów, pamiętać trzeba, że świadomość własnej wielkiej potęgi państwowej niewątpliwie była ważnym czynnikiem, ułatwiającym narodowi rosyjskiemu zniesienie tołstojowskiej postawy artystycznej i moralnej.

Krytyka rzeczywistości rosyjskiej roku 1812, dokonana przez Tołstoja, w „Wojnie i pokoju" ma kilka wymiarów. Pierwszym jej sformułowaniem jest poszukiwanie w Rosji genialnej jednostki, którą możnaby zasadnie przeciwstawić geniuszowi Napelona. Tołstoj próbuje wojnę francusko - rosyjską sprowadzić do rozstrzygającego pojedynku wodzów. Jest to dobrze znany chwyt strategiczny. Daje więc artysta charakterystykę wodzów wojny rosyjskiej, szczególnie Kutuzowa. Charakterystyka ta jest pierwszą formą krytyki rosyjskiego zwycięstwa. Nie tylko, że Tołstoj nie znajduje w Rosji genialnego wodza, którego mógłby przeciwstawić Napoleonowi i geniuszem jednostki usprawiedliwić zwycięstwo, lecz przeciwnie — przywódcy rosyjscy okazują się ludźmi małymi i śmiesznymi w porównaniu z Napoleonem. A nawet bez tego porównania są to ludzie małego formatu. W tej płaszczyźnie zwycięstwo rosyjskie nie znajduje swego uzasadnienia. Bogowi wojny można przeciwstawić tylko generałów. Przeciwstawienie to ma swoją ironiczną wymowę.

Nie poprzestaje jednakże Tołstoj na ironii w odniesieniu do rosyjskiego sztabu generalnego. Rozrachunek swój prowadzi dalej i zestawia idee polityczne wojny: francuską i rosyjską koncepcję zwycięstwa. I tu formułuje się druga płaszczyzna krytyki rosyjskiej epopei 1812 roku. Koncepcja Napoleona reprezentuje twórczą myśl konstrukcyjną, przynosi ze sobą nowy statut polityczny Europy i Azii, nową w owych czasach ideę wolności narodów, nowy porządek ustrojowy i socjalny. Koncepcja rosyjska nie istnieje. Po stronie rosyjskiej jest tylko organizacja z dyrektywami organizacyjnymi. Wyrazem tej pustki rosyjskiej jest historia Europy po kongresie Wiedeńskim. Istotnie, Car rosyjski stał się dyktatorem europejskim, ale dyktatorem bez własnej treści. Stara Europa posłużyła się nim tylko jako narzędziem. Ślepą siłę wielomilionowej organizacji przeciwstawiła donkiszoterii Małego Kaprala. Tołstoj doskonale widzi wewnętrzną pustkę rosyjskiej potęgi i złudę europejskiego znaczenia mocarstwa Aleksandra I. Tak ujęte rosyjskie zwycięstwo staje się tylko triumfem siły, który inni wyzyskują. Jest to pewna niezwykle subtelna i wyrafinowana forma niewoli. Sprowadzić triumf do niewoli to chyba ostateczne słowo krytyki.

Tołstoj nie poprzestaje jednak na tej formie krytyki. Odważnie idzie w głąb zagadnienia. Już teraz nie udowadnia bezpodstawności zwycięstwa. Po prostu odwraca zagadnienie i wykazuje konieczność klęski. Bezzasadność zwycięstwa ukazał rozbiorem „wojny" — konieczność klęski wynika z analizy „pokoju". Czymżesz jest naród rosyjski jako formacja kulturalna, jaka jest jego idea przewodnia, gdzie leżą źródła jego postaw moralnych? — oto pytanie, które stawia artysta narodowi zwycięskiemu. I odpowiedź staje się paszkwilem, czy pamfletem, bo nie satyrą, czy karykaturą.

Trudno o bardziej druzgocącą krytykę narodu jako formacji kulturalnej, aniżeli ta, którą zawierają karty Tołstojowskiego eposu. Balzac był tylko analitykiem typów i charakterów, po przez które charakteryzował środowisko. Nie wznosił się do syntezy. Obce mu było zagadnienie całości, zbiorowości jako stylu. Z wzniosłym sceptycyzmem traktował Balzac zagadnienie syntezy. Gdyby zapytano go o nią — pytania wogóle by nie zrozumiał. To dopiero Celine w „Podróży do kresu nocy" podsumował rachunki analityczne Balzaca. Tołstoj jest równocześnie rosyjskim Balzac'iem i Célinem. Daje w balzacowskim stylu biografię osobowości i celinowskim sposobem z analizy wyciąga syntetyczne wnioski. I tu znów nasuwa się pewne polskie porównanie: „Pan Tadeusz". Tołstoj daleki jest od mickiewiczowskiego sentymentalizmu. Jemu

przymiotnik „rosyjskie" nie usprawiedliwia rzeczywistości. Jest tak obcy sentymentalizmowi jak Savonarola.

Te trzy płaszczyzny krytyki Rosji w roku 1812 zbiegają się u Tołstoja, jak to wyżej zaznaczyliśmy, w uczuciu z d u m i e n i a. Uczucie to u artysty ma swoją historię. Nie chcemy tutaj śledzić wszystkich jego odcieni i paradoksalnych odchyleń w rodzaju np. rozpaczy, wywołanej radosnym faktem triumfu. Zatrzymamy się tylko na intelektualnym rozwiązaniu, jakie Tołstoj w swym dziele podaje. Wyraża się ono w uznaniu demoniczności rosyjskiej. Kiedy zamykałem karty „Wojny i pokoju", cały wzruszony jeszcze prawowaniem się artysty z narodem, nie mogłem oprzeć się urokowi pewnej wizji. Zobaczyłem mużyka w trwożliwej ucieczce, żegnającego się pospiesznie, jakby dla odżegnania uroku. Tym gestem kończy Tołstoj swoją epopeę o roku 1812. Tołstojowska d e m o n i c z n o ś ć Rosji jest jedynym usprawiedliwieniem monumentalnych wymiarów epickich, które są formą dzieła. Jak w każdej epopei artysta pozostał poniżej tworzywa. Przerosło ono możliwości twórcy. Dopiero w „Zmartwychwstaniu" zakończy się dramatyczna walka Tolstoja z demonem Rosji.

III.

„Wojna i pokój" Lwa Tołstoja jako konstrukcja artystyczna, której punkty węzłowe staraliśmy się powyżej ukazać, posiada dziwną aktualność w polskiej współczesnej literaturze. Jest wzorem dla nienapisanej polskiej epopei o roku 1920. Konieczność powstania takiego dzieła odczuwamy bardzo wyraźnie. W toczącej się niedawno dyskusji na temat stosunku literatury pięknej do rzeczywistości polskiej myśl napisania takiego dzieła powracała bezustannie, przykryta rozmaitymi publicystycznymi formułkami. Tęsknota do dzieła o prawdzie historycznej własnego narodu, dzieła w typie eposu Tołstoja, mogłaby być uzasadnionym wewnętrznym motywem całego zagadnienia tak zwanej sztuki państwowotwórczej. Po tym, cośmy powyżej napisali o arcydziele tołstojowskim, stwierdzenie takie wygląda na kpiny. Tak jednak nie jest. To tylko niedomogi intelektualne i moralne tych, którzy tęsknocie tej dają wyraz, przysłaniają istotne, surowe i poważne oblicze zagadnienia. Niepokój zbiorowy, będący pytaniem o podstawy moralne życia, a pytanie takie jest zawsze wołaniem o nową sztukę, wymaga właśnie tołstojowskiej o d w a g i w sformułowaniach. Sztuka pozbawiona tej odwagi, która ośmieli się dotknąć istotnie tej wielkiej sprawy, będzie zawsze tylko mizernym głupstwem. Potrzeby tej odwagi nie zakryje się ani wierszami o morzu, ani powieścią o Gdyni czy Śląsku, ani epopeą o Stefanie Batorym. Cokolwiek w stylu france'owskim możnaby powiedzieć o nicości dziejów, nie zakryje to faktu, że historii wyminąć niepodobna. Można być tylko albo w szczerym i bezpośrednim stosunku do procesów dziejowych, albo jak struś schować głowę w piasek. Rzeczą bardzo dobitnie charakteryzującą naszą polską rzeczywistość kulturalną jest to właśnie, że pragniemy ze sztuki uczynić kupę piasku dla strusia. Wołaniem o nią jest przecież to wszystko, co za program i realizację naszej państwowo - twórczej literatury się podaje.

A przecież, jeśli nurtuje nas wewnętrzny niepokój moralny, jeżeli istotnie odczuwamy tęsknotę za wielką nową sztuką, to pierwszym obowiązkiem naszym jest sprawdzenie podstaw moralnych naszej rzeczywistości. A podstawy te sprawdza się jedynie poprzez odważną analizę mitów i rzeczy wzniosłych, aktualnie w narodzie istniejących.

Centralną pozycję w tej naszej współczesnej mitologji zajmuje rok 1920. Nie będziemy się tu zajmować nieobojętnym społecznie zagadnieniem, dlaczego właśnie nie samo uzyskanie niepodległości, ale dopiero w dwa lata po nim odniesione zwycięstwo stało się ośrodkiem krystalizacyjnym naszego zbiorowego morale, punktem centralnym naszej najnowszej historii. Ciągnąc naszą paralelę z Tołstojem, stwierdzić tylko możemy, że widzimy pewne podobieństwo sytuacji moralnej Polski po roku 1920 i Rosji po roku 1812. Oczywiście nie mamy zamiaru szukać jakichś porównań czysto historycznych. Chodzi nam tylko o pewne podobieństwo problematyki moralnej obu odniesionych zwycięstw, rosyjskiego w roku 1812, polskiego w roku 1920.

Podobieństwo to polega przede wszystkim na tym, że i w jednym i w drugim wypadku klęskę poniosła pewna myśl konstruktywna, o charakterze szerszym, której po zwycięstwie pozytywnie przeciwstawiono nie odmienną myśl konstruktywną, lecz tylko własną sprawę, własną organizację, własne potrzeby i interesy państwowe. Historyczne konsekwencje zwycięstwa roku 1920 w skali ogólnoeuropejskiej były niewątpliwie olbrzymie. Lecz rezultatem tego właśnie zjawiska, że zwycięstwo było zwycięstwem nie odmiennej myśli konstruktywnej, lecz tylko własnej organizacji państwowej, jest fakt, że przeciwstawienie sobie szerokich koncepcji konstruktywnych, znowu w skali europejskiej, nastąpiło nie tyle w bezpośrednim wyniku samego zwycięstwa roku 1920, ile w następnym dopiero przeciwstawieniu rosyjskiemu komunizmowi doktryn europejskich państw faszystowskich.

Na czym polega istota tego zjawiska?— Zwycięstwo roku 1920 z polskiego punktu widzenia państwowego jest zjawiskiem historycznym bodajże większej miary, niżeli rosyjskie zwycięstwo roku 1812 nad Napoleonem i prowadzonymi przez niego wojskami jakiejś tam legendarnej liczby narodów europejskich. Jednakże zwycięstwo to nastąpiło — i to należy sobie powiedzieć jasno — w momencie największego natężenia polskiej siły militarnej i polskiej woli zwycięstwa, lecz równocześnie w momencie pewnego już osłabienia konstruktywnego rozpędu polskiej myśli politycznej w odniesieniu do sprawy ideowo-politycznego układu stosunków w Europie Wschodniej.

Dzień 15 sierpnia roku 1920 jest momentem kulminacyjnym w przesądzeniu o ostatecznym wyniku losów wojny polsko-bolszewickiej. Jednakże moment kulminacyjny polskiej myśli konstruktywnej, reprezentowanej przede wszystkim przez Józefa Piłsudskiego, przypadał na okresy wcześniejsze, na dni podjęcia wielkiej ofensywy kijowskiej, której celem miało być odmienne od wynikającego z leninowskich koncepcji ukształtowanie stosunków europejskiego wschodu. Po zwycięstwie sierpniowym ta myśl konstruktywna nie odżyła już w swojej skali historycznej. Była ona w zbyt wielkiej mierze myślą tylko jednostki, w zbyt małej odpowiadała nastrojom naszej narodowej zbiorowości. I tutaj zarysował się jeden z problemów tołstojowskiej „Wojny i Pokoju".

Z punktu widzenia realnej polityki państwa i narodu rzecz ta może być bez poważniejszego znaczenia. Jednak ukrywa ona w sobie treść, która dla artysty może być źródłem natężonego uczucia niepokoju. Żeromski w „Przedwiośniu" był gdzieś blisko tego współczesnego polskiego problemu. Zbyt jednak był związany uczuciowo z nowością i poczuciem własności polskich dyrektyw organizacyjno - państwowych (słynny hymn na cześć policjanta), aby mógł bez reszty zatopić się w intelektualnych i moralnych perspektywawch i możliwościach tego zagadnienia. Nabiera ono jednak coraz to nowych zarysów i sformułowań w związku zwłaszcza z postępującą czy zarysowującą się dezorganizacją dzisiejszej Europy. Coraz wyraźniej rysuje się problematyka polskiej epopei o „Wojnie i Pokoju", niedokonanej i nienapisanej po roku 1920.

IV.

Rozumiemy doskonale, że projektować dzieła sztuki nie można, że musi ono wpierw być, ażeby później dopiero mogło stać się przedmiotem krytycznej analizy. A jednak odczuwa się częstokroć możliwość takiego projektowania. Karol Irzykowski marzył kiedyś o napisaniu fikcyjnej historii literatury, której przedmiotem byłyby dzieła nienapisane, ale przecież w jakiś sposób możliwe. My tutaj pragniemy obnażyć problematykę moralną dzieła i artysty obecnie w Polsce nieistniejących, a jednak w pewien sposób w Polsce aktualnych.

Rysując kontury tego zagadnienia, możemy posłużyć się schematem Tołstoja. W trzech płaszczyznach postawił on w „Wojnie i pokoju" zagadnienie uprawnień moralnych zwycięstwa i na jego podstawie wybudowanych wieżyczek mitologizujących rzeczywistość rosyjską.

Pierwsze pytanie Tołstoja brzmi: jaką genialną jednostkę zwycięsko przeciwstawić mogła Rosja Napoleonowi? Pierwsze pytanie nienapisanej epopei polskiej o roku 1920 sformułować można w ten sposób: jakie wartości zasadnie reprezentowane przez jakiego genialnego człowieka przeciwstawić mogła Polska w roku 1920 geniuszowi Lenina, jako reformatora? I tutaj odpowiedź nie jest w pełni zadawalająca. Wielkie koncepcje konstruktywne Józefa Piłsudskiego, których realizacja zadecydowałaby o odmiennym biegu historii Europy, nie zostały doprowadzone do końca i podjęte po zwycięstwie orężnym. Lecz w ten sposób geniusz historyczny Józefa Piłsudskiego w swoich posunięciach realizacyjnych związał się przede wszystkim ze zwycięstwem orężnym, a więc z wydarzeniem o charakterze strategicznym, został zużyty niejako na przełamanie w skali historycznej nietyle reformatorskiego zapędu Lenina, ile wojskowo-strategicznego talentu Tuchaczewskiego. Było to niewątpliwie pomniejszenie pierwotnej skali zamierzeń i realizacyjnych dążeń tego męża stanu.

Dlaczego tak się stało? — Chodzi nam w danej chwili nie tyle o historyczną odpowiedź, ile o fakt artystycznego zainteresowania się naszej literatury tym wielkim problemem. Pewne ułamki tego zainteresowania znaleźć można w „Generale Barczu" Kadena Bandrowskiego. Zainteresowanie to raczej jednak uboczne i mimowolne.

Drugie pytanie schematu Tołstojowskiego dotyczy koncepcji zwycięstwa. Po stronie rosyjskiej odpowiedź jest prosta i zdecydowana, tak jak w roku 1812 po

stronie francuskiej. Nie jestem artystą, więc nie mam potrzeby poszukiwania tej koncepcji poprzez analizę historycznej rzeczywistości polskiej. Jesteśmy zresztą wszyscy przedmiotami tej analizy jako współodpowiedzialni za odniesione zwycięstwo.

Trzecie wreszcie i ostatnie pytanie schematu Tołstoja sięga do ogólnych zagadnień bytu narodowego. Poszukuje syntezy moralnej narodu zwycięskiego. Gdzieś w przestrzeniach dystansu, jaki dzieli w wymiarach moralnych naszą kulturę od kultury starożytnej Grecji czy starożytnego Egiptu, znajduje się odpowiedź dla artysty, który by miał odwagę sięgnąć tak głęboko w polską rzeczywistość, aby wynieść z niej odpowiedź na niepokojące wciąż pytanie: jakie są te wartości konstruktywne, które zarówno w wojnie jak w pokoju przeciwstawiać możemy i musimy demonicznemu konstruktywizmowi naszego wschodniego sąsiada.

M. Dowmont

Litewska megalomania

Litwa współczesna, poza językiem, nie ma wiele wspólnego z Litwą sprzed wieków. Dzisiejsi Litwini próbują jednak wspólność tę akcentować na każdym kroku. „Lietuvos Istorije" do niedawna konstruowali w ten sposób, że okres dawnych dziejów Litwy kończył się na Unii Lubelskiej. Jagiełło, oczywiście, uważany był za zdrajcę, nad którym Litwini urządzali nawet sądy publiczne. Wszystko, co się działo po Horodle i Lublinie, miało być rodzajem „smutuawo wriemieni", które przerywa dopiero powstanie współczesnego państwa litewskiego.

Przyjrzyjmy się tej dawnej, przedunijnej, litewskiej kreacji państwowej: „Litwini— pisze Korzon — ukazują się w historii, jako horda wojenna z organizacją wojskową. Jeszcze Witold pod Grunwaldem kazał dla błahej przechwałki powiesić się dwóm Litwinom, a ci natychmiast zawiesili sobie powrozy na szyje i naglili jeden drugiego pogróżką, że książę się zagniewa". Na czele tej hordy stał książę — wojownik, robiący ze swymi poddanymi wszystko, czego zapragnął. Brał więc ów poddany litewski kije, wieszał się własnoręcznie na rozkaz pana i przed śmiercią myślał tylko o tym, aby nie zagniewać jego oblicza. Ówczesny „naród" litewski, stanowiący w milionowym państwie mniejszość niespełna 200.000, podobny był do stada niewolników, poruszanych do walk i grabieży na wciąż innych terenach wolą samowładnego księcia. Dopiero Jagiełło zaczął zmieniać tę koczowniczo - wojenną strukturę. Zaczyna się ona powoli upodabniać do polskiej, aż wreszcie na sejmie lubelskim w 1569 r. „niewolnictwo litewskie było złożone".

Lecz wróćmy jeszcze do XIV czy XIII wieku. W tym okresie nieliczny „naród" litewski, stanowiący zaledwie 1/5 ludności całego państwa, „mając" ojczyznę podobną do wielkiej, leśnej twierdzy, bo pokrytą nieprzebytymi kniejami puszcz bez dróg, mostów i miast, zasłoniętą pasmami jezior i niedostępnych bagnisk", składał się z szeregu drużyn podjazdowo-napastniczych, dokonywujących przejściowych podbojów na wielkich przestrzeniach między Bałtykiem i Morzem Czarnym. O jakiejś kulturze czy cywilizacji tego koczowniczego ludu nie mogło być mowy. Nieliczna warstwa jego starszyzny przyjęła kulturę i mowę najliczniejszej w państwie, podbitej ludności ruskiej. Natomiast lud koczowniczy używał wyłącznie mowy litewskiej, zapewne bardzo do obecnej mowy niepodobnej, lecz niewątpliwie litewskiej. I jeśli Litwa dzisiejsza jest pod jakimś względem kontynuatorką w prostej linii dawnej Litwy — to tylko pod względem językowym. Istotnie bowiem na terenie Litwy, zwanej po wojnie kowieńską, skupiły się najzwarciej resztki owego ludu litewskiego sprzed wieków, zmieszanego wprawdzie bardzo silnie z elementem etnicznie nielitewskim, głównie polskim, owi Litwini nie tylko z nazwy, lecz z języka ojczystego, tego samego starego języka litewskiego, któremu, jako językowi plebsu koczowniczego, książęta litewscy okazywali pogardę. Ale na tej wspólnocie językowej kończy się wyraźna nić, która wiąże po przez zmienne koleje losów kowieńsko - litewski wiek XX z litewskim wiekiem XIV, XIII czy z jeszcze wcześniejszymi stuleciami.

Pod względem etnicznym dawne państwo litewskie składało się z elementów różnorodnych. Używając współczesnej terminologii było to państwo narodowościowe, o dziwnym wyglądzie, gdyż mniejszość litewska, właściwie litewsko-mazurska, lub litewsko - polska, rządziła w nim nad pięciokrotnie większą, lecz pokonaną ludnością ruską. Dzisiejsze państwo litewskie składa się natomiast z wyraźnej pod względem narodowym, choć nie pod względem pochodzenia, większości litewskiej oraz różnych mniejszości narodowych, stanowiących około 1/5 ludności Litwy. Struktura narodowościowa uległa zupełnemu odwróceniu. Dopiero dzisiejsza Litwa pod względem narodowym nabrała określonego oblicza.

Jeszcze mniej analogii nasuwa, oczywiście, organizacja dawnego i dzisiejszego państwa. Dominującą cechą państwa Mendoga czy Giedymina była organizacja wojskowa. Dziś, ze względów zrozumiałych, cecha ta nie może decydować o organizacyjnym obliczu żadnego państwa. Współcześni Litwini, głównie rolnicy, przywiązani do swej ziemi i zagrody, dbający przede wszystkim o swe interesy materialne, są żywym zaprzeczeniem typu Litwina — koczowniczego wojownika, łupiącego w ciągu wieków rolniczą ludność polskiego Mazowsza.

Pod jednym może względem współczesne, małe państwo litewskie przypomina dawne Wielkie Księstwo Litewskie. Wielki książę sprawował rządy absolutne. Dziś wprawdzie księcia nie ma, Litwa jednak rządzona jest absolutnie przez prezydenta państwa — eksponenta kliki, która zazdrośnie trzyma władzę w swych rękach.

Musiały się wreszcie zmienić w ciągu długich wieków aspiracje polityczne państwa litewskiego. Lecz właśnie w tej dziedzinie, jakby dla podkreślenia owej rzekomo nieprzerwanej ciągłości z dawną, przedunijną Litwą, uprawia się słowną demagogię imperialistyczną. W XIV wieku książęta litewscy aspirowali do podboju całej Rusi, dzisiejsi władcy Litwy chcą podbić wcale dużą część Polski. I tak „podbijając" Polskę już od lat na różnych wiecach i uroczystościach Litwini ulegli niebezpiecznej dla małego narodu chorobie — megalomanii.

Zamiast bowiem patrzyć uważnie na kartę współczesnej Litwy, obejmującej zaledwie ponad 50.000 klm. kwadratowych z 2 i pół milionami mieszkańców, wolą spoglądać na mapę „Lietuvy" z XIII wieku, na której zakreślone są tereny, obejmujące setki tysięcy kilometrów kwadratowych. Zamiast trzeźwym spojrzeniem oceniać wartość bojową swej skromnej armii, złożonej z kilku dziesiątków tysięcy, współczesnych wojowników litewskich, wolą mówić o potędze wojskowej Giedyminów, Kiejstutów czy Witoldów. Ale nikomu z tych nieuleczalnych megalomanów nie chce się, oczywiście, wojować. Olgierd szedł na Moskwę, Smetana nie myśli maszerować na Polskę. Boi się jej nie tylko jako silniejszego przeciwnika. Boi się jej stokroć więcej, jako zwykłego sąsiada, z którym nie można normalnie współżyć, bowiem sam proces takiego współżycia zagraża słabej roślince — litewskiej kulturze. Więc z jednej strony imperialistyczna megalomania, z drugiej najzwyklejszy „Minderwertigkeitskomplex — uczucie obawy w stosunku do narodu, o którego ziemie stacza się od lat słowne, demagogiczne batalie.

Współcześni Litwini są chorzy. Światlejsze umysły wśród nich zdają sobie sprawę z przykrych skutków w przyszłości tej choroby. Całą nadzieję pokładają w zdrowym realiźmie litewskiego chłopa, który, gdy otworzy raz oczy, pozbędzie się z łatwością obcej mu megalomanii.

Tomasz Piskorski

Polskie tradycje wychowawcze

Pod powyższym tytułem ukazała się w końcu 1936 r. wydana nakładem „Naszej Księgarni", Sp. Akc. Związku Nauczycielstwa Polskiego w Warszawie praca profesora Uniwersytetu Lwowskiego dr Stanisława Łempickiego, który, pierwszy bodaj w naszej literaturze pedagogicznej, pokusił się o przedstawienie całego dorobku narodowego w dziedzinie, objętej wymienionym tytułem. Praca ta porusza tak ważne i aktualne, a zarazem i ciekawe zagadnienie, że warto jej więcej ponad zwykłą recenzję poświęcić miejsca i że należy choć pobieżnie dać czytelnikowi przegląd tych pierwiastków i wartości, które zdaniem autora składają się na „polskie tradycje wychowawcze".

Prof. Łempicki zaczyna swe wywody od określenia, „*Co rozumiemy przez tradycje wychowawcze?*" [1]) i dochodzi tutaj do stwierdzenia, że tematu jego tyczyć mogą „tylko te idee i ich realizacje, które były świadomie, jako żywotne i szczególnie wartościowe, przekazywane jakby z pokolenia na pokolenie dla dalszego pielęgnowania i rozwijania." W następnym zaś rozdziale — pytaniu: „*Kto jest źródłem tradycji wychowawczych?*" autor wyjaśnia, że chodzić mu będzie jedynie o te postulaty i ich urzeczywistnienia, „które były wyrazem przekonań *pewnej znacznej i znaczącej* w ogólnym składzie społecznym *części narodu polskiego* i jako takie znalazły wyraźne upowszechnienie. Dodaje przy tym, że „jako kryterium musi wystarczyć oddźwięk, jaki pewna idea wychowawcza znajduje w kołach szerokich lub znowu w kołach duchowo elitarnych".

Po tym jakby wstępie autor zapoznaje nas kolejno, trzymając się naogół porządku chronologicznego, z poszczególnymi polskimi doktrynami wychowawczymi, wzgl. wkładem do nich najpoważniejszych naszych wychowawców narodowych. Na początku dowiadujemy się, jakie były „*Tradycje wychowawcze Polski szlacheckiej*". Prof. Łempicki z godnym szczególnego uznania objetywizmem, który cechuje zresztą całe dzieło i dzięki temu niezwykle potęguje jego wartość, zastanawia się głęboko nad istotą owego staroszlacheckiego wychowania i znajduje w nim następujące jego składniki:

„A. Postulat wychowania w duchu religijnym,

B. Postulat wychowania patriotycznego o zabarwieniu:

1) żołniersko-rycerskim,
2) patriotyczno-rzymskim (republikańskim),
3) wybitnie wolnościowym,

C. Głębokie przywiązanie do wykształcenia humanistyczno-łacińskiego.

Nadchodzi „*Wielka Reforma XVIII w....*", a więc dzieło Stanisława Konarskiego i następnie wiekopomna Komisja Edukacji Narodowej, która, jak to mówi autor, „dała Polsce *ideę Polaka-obywatela*", przełamując tym samym niejedną mocno przestarzałą maksymę pedagogiki staropolskiej. Do dawnych przy tym zasad szkoły klasycznej zaprowadzono teraz wartki nurt „wykształcenia bardziej realistycznego, praktyczno-życiowego, opartego o nauki ścisłe i przyrodnicze."

„*Dziedzictwo Komisji Edukacji Narodowej*" towarzyszy poczynaniom oświatowym Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego, widzimy je również w działalności Uniwersytetu Wileńskiego i Liceum Krzemienieckiego, spotykamy wreszcie tradycje Komisji tej i na innych ziemiach polskich. Są to czasy tworzenia się z warstw szlacheckiej i mieszczańskiej nowej warstwy: t. zw. inteligencji. W procesie tym ideologia Komisji odgrywa rolę pierwszorzędną. Z powodu jednak panoszącej się wówczas, a ściślej w latach 1813—1830, orjentacji filorosyjskiej postulat Komisji w zakresie „wychowania karnego i ofiarnego obywatela dla własnego państwa" ulega jakby pewnemu zatarciu. Mówi się wtedy raczej o urobieniu „dzielnego *Polaka - w ogóle, obywatela - w ogóle*". Tak rozumują najwybitniejsi podówczas wychowawcy narodowi: Staszic, Śniadecki, Czacki. To samo podejście cechuje też i Filomatów, występujących pod hasłem: *Ojczyzna, Nauka, Cnota.**)

Wracając do książki prof. Łempickiego stajemy teraz przed rozdziałem o „*Wpływie wielkiej emigracji i romantyzmu na tradycje wychowawcze XIX wieku*". Wpływ ten w okresie, zawartym między Powstaniem Listopadowym a Powstaniem Styczniowym, ściąga się do dwuch kapitalnych pierwiastków. Jednym będzie dopiero teraz z całą mocą akcentowana „*idea wychowania młodzieży w niepodległości i dla niepodległości*", a drugim — „*zdemokratyzowanie wychowania polskiego*", idące w kierunku jakby zastąpienia dotychczasowej Polski szlacheckiej przez Polskę Ludową.

Zastanawiając się zaś nad tym, jak wyglądały „*Ideały wychowawcze wielkiej emigracji w stosunku do przeszłości*", prof. Łempicki przychodzi do wniosku, że aczkolwiek „ustąpił w cień szlachcic w sensie jedynowładczej kasty społecznej, ale został *żołnierz-rycerz*, broniący Ojczyzny i ideałów ogólnoludzkich (chociaż innych już teraz), a więc zostało to, co w pratradycji polskiej było naistotniejsze".

Co zaś do religijności, to na tym polu powstała świeża zupełnie idea, obca wszelkim kultom oficjalnym — była nią „*nowa polska religijność*", nasiąknięta mistycyzmem, a przejawiająca się głównie w mesjanizmie, towiańszczyźnie, ruchu zmartwychwstańców. Zwłaszcza „*Rola mesjanizmu w wychowaniu polskim pod zaborami*" była, jak wiemy, nader duża. Prąd ten w znaczeniu „*mesjanizmu popularnego*" nie był żadną doktryną, lecz „po prostu tą niezniszczalną wiarą..., napełniającą wszystkie idące po sobie pokolenia, że Polska kiedyś powstać znowu musi, że sprawa jej wolności i niepodległości jest czymś świętym, dla czego każdy powinien poświęcić swe życie; że Polska zmartwychwstanie w czasie jakiejś wielkiej wojny światowej, czy kataklizmu dziejowego, gdy zachwieją się trony zaborców; że — chociaż nie jesteśmy może narodem wybranym — mamy jednak jakąś wielką moralną misję do spełnienia." Zaś „źródłem najwyższym, wiecznie się odnawiającym był w tym wielkim procesie wychowawczym przede wszystkim *Mickiewicz* (po nim dopiero Słowacki, Krasiński i inni)."

Skolei stawia nas autor wobec „*Walki pozytywistów i zwolenników „pracy organicznej" z „romantykami"*. W kraju, zgnębionym klęską 1863 r. głos zabrał realizm, którego najwydatniejszą formą był pozytywizm. Z Warszawy, głównie przez Al. Świętochowskiego kierowany, szedł na cały kraj, skuteczne czyniąc postępy. Prąd ten wprowadził do naszych tradycji wychowawczych sprecyzowany przez siebie ideał *Polaka pracownika*, pomnażającego dorobek kultury materialnej i duchowej, zaszczepił pierwiastki „postępu", w zrozumieniu liberalno-humanitarnym (nowoczesna polska tolerancja, walka z przesądami społecznymi, *szacunek dla wartości duchowych*), wreszcie uzyskał przodujące miejsce dla *nauk ścisłych i przyrodniczych*. Odmienną ideologię reprezentował w Galicji obóz, „Stańczykami" zwany. Społecznie usposobieni zdecydowanie zachowawczo byli oni pod wieloma wszakże względami bliżcy pozytywistom; również, jak i tamci wyrzekają się bohaterstwa, romantyzmu; podobnie do nich opierali się na zasadzie „trzeźwego" ustosunkowania się do rzeczywistości. Uzewnętrznienie swe znaleźli „Stańczycy" w słynnej krakowskiej która z dużym, czasem nadmiernym, krytycyzmem rozpatrując przeszłość dziejową wiele przecież wniosła trafnych spostrzeżeń i myśli do oceny naszych wad narodowych. Nie inaczej było w Wielkopolsce, gdzie postulaty pracy organicznej osiągnęły zdecydowaną przewagę. Za nutę szczególnie charakterystyczną dla realistów wszelkich odcieni na ziemiach polskich przyjąć należy ugodowość w stosunku do zaborców, dochodzącą w niektórych wynaturzonych odmianach tego kierunku do zupełnego przekreślenia haseł niepodległościowych.

„*Próbę rekonstrukcji psychiki polskiej w dobie pozytywizmu*" dał nam Bolesław Prus (Al. Głowacki) w swych „Najogólniejszych ideałach życiowych". Za ideały takie uważał on: szczęście, doskonałość i użyteczność. Ówczesna polska pedagogika w znacznym stopniu poglądy Prusa (wbrew Trentowskiemu, który będąc reprezentantem przekonań indywidualistyczno-romantycznych przekładał raczej interes jednostki ponad interes państwa) i innych pozytywistów, przyjmując stanowisko, że jedynie „*rozsądek*... ma kierować aktami polskiej woli i decydować o czynie."

Następny rozdział zatytułował autor: „*W walce przeciw realizmowi i ugodowości. Rola wychowawcza demokracji w kraju.*" Dwa więc zasadnicze krzyżowały się z sobą wtedy w Polsce dążenia pedagogiczne: 1) „wychowania *Polaka-bohatera-idealisty*, kierującego się przede wszystkim uczuciem i wyobraźnią patriotyczną", 2) „wychowanie *Polaka-pracownika*, dla którego drogowskazem miał być przede wszystkim rozsądek". W sukurs drugiej z wymienionych tendencji przybył w okresie popowstaniowym prąd demokratyczno-niepodległościowy na terenie Galicji, skupiający się głównie we Lwowie, a wywodzący się z haseł Wielkiej Emigracji, z którą pozostawał w żywej łączności. Z biegiem czasu prąd ten tracił na znaczeniu, wyrażając się przeważnie tylko w aktach uroczystościowych i ograniczając się do wystąpień parlamentarno-konstytucyjnych w ramach monarchii Habsburgów.

Niebawem miały jednak zapłonąć nowe ogniska ruchu niepodległościowego. W związku z tym zatrzymajmy się teraz na „*Ideach wychowawczych polskiego socjalizmu*". W pierwszej swej fazie, jeżeli za fazę tę przyjąć stadium po r. 1876, posiadał on, niewątpliwie, znamiona wybitnie międzynarodowe. Dopiero Bolesław Limanowski przekonał swoich towarzyszy, że „*u nas kwestia niepodległości bytu jest najważniejszą*". Śladem późniejszego patriarchy socjalistów polskich poszło rychło wielu innych wybitnych przywódców i publicystów. W wyniku akcji patriotycznej na terenie socjalistycznym nie tylko utrwalono w masach postulat niepodległości, ale zrobiono jeszcze wielki krok naprzód — zaczęto przygotowywać się do jego zrealizowania. Tak więc socjalizm „wychowywał *człowieka czynu i ofiary, żołnierza sprawy* nie tylko społecznej, lecz równocześnie i narodowej".

[1]) Rozstrzeloną kursywą oznaczamy tytuły rozdziałów w książce.

*) Tutaj pod adresem autora postawilibyśmy zarzut, że stanowczo zbyt mało w swej cennej pracy udzielił miejsca całemu ruchowi filomacko- filareckiemu. Nie tylko dlatego, że było to środowisko, któremu tyle zawdzięczał wódz duchowy przez dziesiątki lat młodzieży polskiej Adam Mickiewicz, ale przede wszystkim z uwagi na znaczenie, jakie miał wspomniany ruch w tworzeniu i prowadzeniu późniejszych organizacji niepodległościowych młodych pokoleń naszego kraju. Tych parę wzmianek o Filomatach, jakie znaleźliśmy w książce, jest, niewątpliwie, niewspółmiernie z ogromnym wpływem, jaki Towarzystwo Filomatyczne i jego pochodne wywarły na rozwój naszej młodzieży w ciągu całego stulecia niewoli.

W równym stopniu na uwagę zasługują „*Idee wychowawcze w początkach ruchu narodowego*". Słusznie autor znajduje źródło pierwocin tego ruchu w Towarzystwie Demokratycznym, a inicjatywę zorganizowania akcji w kraju wiąże z osobą niezapomnianego płk. Zygmunta Jeża-Miłkowskiego, który w latach 1886-7 rzuca pamiętne hasło obrony czynnej i jest głównym twórcą Ligi Polskiej. Jednym z pierwszych pionierów nowego prądu stał się Jan Ludwik Popławski, który „otrząsał się ze wstrętem z przyziemnych ideałów pozytywistyczno-mieszczańskich, protestował przeciwko wypędzaniu uczucia, entuzjazmu wysokich ideałów przez pronónsowaną szeroko trzeźwość i praktyczność, domagał się renesansu wielkich idei i — jeśli zajdzie potrzeba — przebijania znowu murów głowami". Prof. Łempicki nie zapomina, że w tym samym czasie twórca ruchu ludowego w Galicji Bolesław Wysłouch wyraźnie stawiał problem „odbudowania Polski historycznej od morza do morza w granicach, jaki ją zastał pierwszy rozbiór kraju, oburzając się, że miast tego propagowane są „jakieś ideały kupieckie lub mieszczańskie (pozytywizm)..." Nietylko jednak to było ważne, podkreśla autor, mianowicie, że „w sprawę *wychowania człowieka polskiego* wniosła ideologia Ligi niewątpliwie z całą siłą na nowo element *niepodległościowo-rewolucyjny,*" ale i to, że narodowcy ustanowili równocześnie, „jako fundamentalny punkt swego programu doprowadzenie *samopoczucia narodowego* polskiego do najwyższej potęgi, scalenie wszystkich części rozerwanego narodu i wszystkich jego warstw społecznych (zwłaszcza „ludu", t. j. warstw dotąd nie pobudzonych i zaniedbanych), nadanie narodowi naszemu charakteru nowoczesnej indywidualności narodowej".

W osobnym rozdziale autor analizuje, co głosił „*Stanisław Szczepanowski o wychowaniu narodowym*". Wymieniony, aczkolwiek związany blisko z ruchem narodowym, „jako myśliciel-wychowawca i konstruktor nowego ideału człowieka polskiego, stoi samotny". Prof. Łempicki słusznie przywiązuje wielkie znaczenie do zasług pedagogicznych tego niepospolitego męża i stwierdza, że „ideologia wychowawcza Szczepanowskiego to niezaprzeczenie *szczytowy punkt* usiłowań reformatorskich kierunku narodowego w dziedzinie wychowania". Jego zaś „*człowiek dzielny*" przedstawia sobą typ pełnego Polaka, łączący „ideał" „bohatera" z ideałem „pracownika". Wspomina autor, że „idee wychowawcze Szczepanowskiego stworzyły sobie niewątpliwie *własną tradycję*" i nadmienia, że szczególnie żywo przyjęły ją: młodzież z kółek „Odrodzenia" i nauczycielstwo w Galicji. To jest zbyt wązko ujęte! Myśli Szczepanowskiego znalazły równie mocny odźwięk w licznych rzeszach innych skupień ówczesnego i nieco późniejszego młodego pokolenia, a przede wszystkim w całym jego ruchu niepodległościowym, dla którego posiadały wartość ewangelji narodowej.

W sfery innych zagadnień przenosi nas autor w następnym rozdziale: „*O tężyznę fizyczną i duchową narodu. Idea sokoła i harcerstwo*". Pierwsza z tych idei przeszczepiona została z Czech na grunt polski do Lwowa w r. 1867, przy czym patronowały jej pierwotnie czynniki demokratyczne, a głównie zasłużony działacz społeczny na terenie tego grodu Jan Dobrzański. Ważnym momentem było ogarnięcie ideologią sokolą również i dwuch pozostałych zaborów, a nawet naszej emigracji, przez co ruch zyskał charakter międzydzielnicowy, ogólnopolski. „Krzewiło Sokolstwo... kulturę zdrowia, hartu i wyrobienia fizycznego" nie tylko wśród inteligencji, ale i w warsztatach rzemieślniczych, robotniczych, a nawet dostało się do chłopa. Obok dziecka i młodzieńca, wciągnęło osoby starsze. Nie poprzestając na mężczyznach, objęło też i kobiety.

Autor w pięknych słowach pisze również o dorobku harcerstwa. Ruch ten, na angielskim wprawzie skautingu wzorowany, od samego początku szczęśliwą ręką znakomitego, aczkolwiek wielkiem miał u nas jednak wybitnie narodowo-niepodległościowe zabarwienie. Kierowany przez pierwsze lata tak jeszcze młodego, wychowawcy, Andrzeja Małkowskiego, który, chociaż nie był jego formalnym komendantem, ale zato duszą i faktycznym przywódcą, szybko zdobył sobie liczne szeregi młodzieży polskiej i wziął wydatny udział w krwawych zmaganiach o przywrócenie państwowego bytu Ojczyzny. Trafnie przy tym zauważa prof. Łempicki, że harcerstwo rozpoczęło równocześnie wielką pracę moralną - wychowawczą, pracę nad kształtowaniem nowego charakteru polskiego. O innych cechach i rzetelnych zasługach tej prawdziwej szkoły wychowania narodowego nie będziemy pisać, gdyż są to już rzeczy zbyt dla inteligentnego ogółu znane. Zanotujemy natomiast znamienne, a brzemienne w treść zdania, jakim autor kończy ten rozdział, wypowiadając je pod adresem teraźniejszości: „harcerstwo w Wolnej Polsce jest zawsze najpewniejszym fundamentem, na którym dalej można budować."

W jednym wszakże punkcie trudno jest zgodzić się z autorem, mianowicie, jeśli chodzi o genezę harcerstwa. Bo chociaż słusznie prof. Łempicki wiąże jego początek w r. 1900 z sokolstwem, które bezsprzecznie stało się u podstaw tego ruchu formalnym dla niego oparciem, jak i niemniej słusznie zaznacza wielki wpływ, jaki na powstającą organizację mieli prowadzeni przez Wincentego Lutosławskiego Elsowie z ich zasadami i czystości życia osobistego i bezwzględnej abstynencji od nałogów, to jednak te dwa czynniki, poza uprzednio wymienionym genialnym wzorem angielskim generała Baden Powella, nie wyczerpują tych głównych pierwiastków, które w sumie złożyły się na wytworzenie najbardziej popularnego prądu, jaki kiedykolwiek porwał młode pokolenia. Tymi pozostałymi składnikami, a w naszym zrozumieniu, szczególnie ważnymi czynnikami, które dały istotną podstawę organizacyjno-ideową powstającemu ruchowi, były ówczesne organizacje niepodległościowe młodzieży, a wśród nich przede wszystkim: Zarzewie (do którego należał sam Małkowski) i Związek Młodzieży Polskiej („Zet"). Do organizacji tych powrócimy jeszcze na innym miejscu.

W rozdziale: „*Nowoczesny Polak i egoista narodowy*" autor snuje ciekawe rozważania w związku z „Myślami Nowoczesnego Polaka" Romana Dmowskiego i „Egoizmem narodowym wobec etyki „Zygmunta Balickiego. W książkach tych prof. Łempicki widzi duże odchylenie od tez, głoszonych przez Szczepanowskiego. Według pierwszego z nich należy dążyć do tego, aby powstała „*nowa szkoła wychowania narodowego,* mająca za zadanie urabiać nowych Polaków, fanatyków narodowości, którzy „muszą iść naprzód, tworzyć i organizować wedle nowego typu wszystko, co jest zdolne ulec naszemu wpływowi". Wyrażone przez Dmowskiego zasady owego „*patriotyzmu nacjonalistycznego*" i jego ekspansji zostały rozwinięte i pogłębione przez drugiego z wymienionych ideologów Narodowej Demokracji, który w swej broszurze pisał m. in., „Naród ma prawo moralne rozrastania się nie tylko kosztem żywiołów biernych, bezmyślnych i społecznie bezkształtnych, ale nawet *kosztem narodów innych,* byle ten rozrost był naturalny i nie opierał się na sile brutalnej, przymusie i prawach wyjątkowych". Autor kończy swe wywody w tym rozdziale spostrzeżeniem, że w oparciu o te książki urosła ideologia wychowawcza narodowej demokracji, t. zw. ideologja narodowa, która... w zasadniczym zrębie swoim wykazała żywotność i agresywną ekspansywność również po powstaniu odrodzonego państwa naszego".

Skolei prof. Łempicki pokazuje czytelnikowi ideologię, którą zawdzięczamy jednemu z największych myślicieli Polski z okresu poprzedzającego Wielką Wojnę. Oto przed nami: „*Gloryfikacja pracy Stanisława Brzozowskiego*" Analizując w rozdziale tym wiekopomny jego wkład do naszej literatury autor m. i. stwierdza, że, aczkolwiek niejednokrotnie już przed tym pisarze nasi dawali wyraz ideologii pracy, „Nikt jednak przed nim nie ogłosił światu polskiemu tak potężnej i sugerującej ewangelii pracy, nie wyśpiewał na jej chwałę tak wspaniałego hymnu: „Ludzkość żyje i rozwija się tylko pracując. Siła jej i znaczenie, szanse rozwoju i przyszłość — wszystko to zależy od pracy. Praca jest podstawowym, wartościowym stanowiskiem człowieka wobec wszechświata, stosunkiem do niego". Drugim zasadniczym pierwiastkiem w twórczości Brzozowskiego był naród. „Z połączenia idei *pracy* z ideą *narodu,* z pogodzenia ich ze sobą powstała ideologia, którą nazwano — przypomina prof. Łempicki — *nacjonalizmem proletarjackim*".

Jednak z najciekawszych rozdziałów omawianej książki jest rozdział o „*Wpływie literatury na polskie idee wychowawcze na przełomie dwóch wieków*". Autor wysuwa tu trzech najpopularniejszych w tym czasie koryfeuszów naszej literatury i rozpatruje, jakie wartości ideowe zaszczepiali oni w młodszej części narodu. A więc najpierw: Henryk Sienkiewicz, którego nazywa nie tylko „najpoczytniejszym w Polsce polskim autorem", ale „przede wszystkim *autorem młodzieży polskiej*". Wykazując, co tej ostatniej Sienkiewicz dał, prof. Łempicki wylicza: 1) „przynosił odczucie historycznej wielkości naszego narodu i dawnego państwa polskiego" 2) „krzewił kult rycerstwa i rycerskości..., wywoływał ustawicznie... *wizję wojska polskiego...,* 3) „budził... *instynkt bohaterski, ducha heroicznego*", 4) „krzepił ducha, t. zn. pokazywał, że nigdy go tracić nie należy i że nie ma położenia tak złego, z którego by naród, wzmógłszy się w sobie, nie mógł wyjść zwycięsko..." 5) „uwydatniał wielokrotnie... wielkie rysy dziejowej misji Polski..." 6) „przez to wszystko... dawał jakby myślową i uczuciową *projekcję tych wartości w przyszłość...,* wytwarzał jakby nastrój żołnierskiej żądzy i niecierpliwości".

Trudniejsze bodaj miał autor zadanie, gdy chciał wykazać, na czym polegał wpływ na młodzież Stanisława Wyspiańskiego, wielkiego poety, co „Polski pragnął prawdziwej, cielesnej, a nie urojonej", co głosił:

„Sam sięgnę lepszej doli
I łeb przygnotę jędzy.
Zwyciężę na tej ziemi
Z tej ziemi Państwo wskrzeszę".

Prof. Łempicki dochodzi do wniosku, że „to... czym działał *wychowawczo* Wyspiański najsilniej... była ta niezwykła *sugestia oczekiwania wielkich wypadków, zbliżania się godziny wyzwolenia Polski, gotowania się do zbrojnego czynu,* sugestia, którą wywierał na rzesze."

Wreszcie Stefan Żeromski. Dorobek ideowy twórczości tego wspaniałego ducha próbuje autor ująć w następujące punkty orientacyjne:: „Żeromski każdej chwili i w każdym swym dziele *pełen był Polski* i tę Polskę stawiał przed oblicze swoim rodakom; ...*przypominał narodowi niewolę*... wzywając do czynu i walki; budził *heroizm polski*... propagował... czynnie *kult obowiązku;* uczył rodaków *prawdziwego demokratyzmu;* był jednym z tych, którzy gotowali bezpośrednio przyjście niepodległości polskiej..."; „był *państwowcem,* co dotyczy naszych tradycji wychowawczych już na ich ostatnim odcinku!" Pisze w końcu prof. Łempicki, że „Żeromski - człowiek o „sercu nienasyconym" — był jednym z najdzielniejszych, niestrudzonych *nauczycieli swego narodu.* Drogą myśli i uczucia prowadził go od niewoli do wolności". (d. n.)

Adres Redakcji i Administracji
Warszawa, Widok 3 m. 33, tel. 609.70.

NOTATNIK POLEMICZNY

Jeszcze o niebezpiecznej zabawie

W poprzednim numerze „Narodu i Państwa" poruszyliśmy ustosunkowanie się redakcji „Prosto z Mostu" do dwóch zamieszczonych na jednej stronie wypowiedzi na temat „Bajek" Sieroszewskiego, to jest przedruku artykuliku p. Hernesa, atakującego p. Sieroszewskiego w sposób w najwyższym stopniu niepoważny i złośliwy, jako świadomego plagiatora, oraz listu prof. J. Krzyżanowskiego, ostrzegającego przyjaźnie redakcję „Prosto z Mostu" przed prowadzeniem w danej sprawie kampanii, gdyż — zdaniem prof. Krzyżanowskiego — zarzut plagiatu pod adresem Sieroszewskiego płynie „z całkowitej nieznajomości istoty i życia bajki".

Nam się tego rodzaju obiektywizm nie podobał i daliśmy temu wyraz. Notatka nasza wywołała replikę redakcji „Prosto z Mostu". Replika ta zawiera pod naszym adresem zarzut popełnienia „wolty polemicznej" przez podanie naprzód cytaty z listu prof. Krzyżanowskiego, następnie zaś z artykuliku p. Hernesa, gdy w artykule „Prosto z Mostu" kolejność ta jest odwrotna.

Do kolejności tej redakcja „Prosto z Mostu" zdaje się przywiązywać dużą wagę, stwierdzając w numerze ostatnim (41), że „zarówno chronologicznie, jak i na łamach naszego pisma, list Z. Hernesa jest w c z e ś n i e j s z y, list zaś prof. J. Krzyżanowskiego p ó ź n i e j s z y" (podkr. red. „Prosto z Mostu"). W sprawie tej gotowiśmy dać najdalej idące, najbardziej szczegółowe sprostowanie. Istotnie artykulik p. Hernesa przytoczony jest w wierszach 20—112, zaś list prof. Krzyżanowskiego w wierszach 119—197 odpowiedniego artykułu w n-rze 39 „Prosto z Mostu".

Rozróżnienie to jednak byłoby niewątpliwie bardzo istotne, gdyby list prof. Krzyżanowskiego podany został jako wyraz przyjętego przez Redakcję stanowiska i zdezawuowanie p. Hernesa. Tak jednak nie było. Po przytoczeniu bowiem obu wypowiedzi nastąpił w wierszach 198—245 w s p ó l n y komentarz, nie tylko nieodżegnywujący się od tonu artykuliku p. Hernesa, lecz nawet zawierający pewną jego aprobatę. W ten sposób sprawa ważności chronologicznego następstwa obu wypowiedzi została przez Redakcję „Prosto z Mostu" zupełnie przekreślona i zatarta. W rezultacie stwierdzenie faktu, że Redakcja „Prosto z Mostu"—po o t r z y m a n i u listu prof. Krzyżanowskiego i bez odrzucenia stanowiska, zajętego przez autora tego listu, zdecydowała się na r ó w n o r z ę d n e potraktowanie go z artykulikiem p. Hernesa, drukując ten list „o b o k" przedruku artykuliku p. Hernesa — odpowiada zupełnie ściśle sposobowi ustosunkowania się tygodnika „Prosto z Mostu" do obu wypowiedzi. W tych warunkach zarzut „wolty polemicznej" musimy uważać za niesłuszny.

Lecz nie dlatego powracamy do tej sprawy. Raczej wręcz przeciwnie. Chodzi nam o to, by w przeniesieniu dyskusji na tego rodzaju płaszczyznę wzajemnego ataku nie została pominięta istota sprawy, która, naszym zdaniem, jest ważniejsza, niżeli się wydaje.

Redakcja „Prosto z Mostu" nie bardzo rozumie, jak widać z jej notatki polemicznej, przyczyny naszego zainteresowania się sprawą. Stąd też kończy retorycznym pytaniem: „O co więc chodzi? Żebyśmy referowali polemikę jednostronnie? Żebyśmy wypuszczali jej ogniwa? Tę metodę pozostawiamy już komu innemu. Sami wolimy informować naszych czytelników o całokształcie sprawy, choćby to z zrozumiałych względów bardzo się nie podobało „Narodowi i Państwu".

Pozornie wygląda to bardzo pięknie, bardzo szlachetnie i bardzo obiektywnie. W istocie jednak obiektywizm ten jest lichego gatunku.

Zarzut plagiatu jest zarzutem bardzo poważnym. To też nie można nim szafować bez zadania sobie trudu d e c y z j i, czy jest on słuszny, czy nie. Tymczasem Redakcja „Prosto z Mostu" wybiera następującą taktykę. W cytacie z napastliwego artykuliku p. Hernesa podaje w formie niesłychanie ostrej i bez zastrzeżeń bezpośrednich zarzut „plagiatu świadomego", w liście prof. Krzyżanowskiego daje „oświetlenie odmienne", po to, by wreszcie we własnym komentarzu redakcyjnym zbagatelizować zagadnienie i wyrazić pogląd odnośnie szczegółowego zbadania sprawy, że „gra nie warta świeczki".

Z punktu widzenia moralnego słaby punkt tego rodzaju pozornego obiektywizmu leży w następującej płaszczyźnie. Redakcja „Prosto z Mostu", redakcja pisma poważnego i poświęconego sprawom kultury, powinna zdawać sobie sprawę, że wypowiedzi prof. Krzyżanowskiego i p. Hernesa, to nie są dwa „odmienne oświetlenia", dwie r ó w n o w a ż n e opinie, ale że jest to przeciwstawienie opinii poważnej niepoważnemu, natomiast niesłychanie agresywnemu w tonie, atakowi. Równocześnie w opinii publicznej, w kołach czytelników, nastąpi niezmiernie łatwo całkowite odwrócenie wartości istotnej obu opinii: tam a g r e s j a p. Hernesa będzie działała bez porównania sugestywniej, niżeli a r g u m e n t y prof. Krzyżanowskiego. W rezultacie Redakcja „Prosto z Mostu", podzielając, a przynajmniej zdając się podzielać pogląd, że w danej sprawie trudno jest sformułować zarzut plagiatu, będzie mimo to w s p ó ł d z i a ł a ł a w przyklejaniu do dużej miary pisarza etykiety plagiatora. Czy to jednak jest istotnie w porządku i czy to jest obiektywizm zupełny i godny uznania?

Przypuśćmy, że ktoś zamieści na łamach swego pisma sugestywny, barwny i szczegółowy opis rzekomo popełnionej przez kogoś z ludzi wybitnych i znanych kradzieży, następnie poda zdanie człowieka poważnego, lecz bez porównania mniej barwnie spisane, stwierdzające, że w danym wypadku nie było warunków popełnienia kradzieży, doda od siebie, że sprawa nie jest pewna, lecz że ostatecznie nie ma to istotnego znaczenia, wreszcie na zakończenie każe podziwiać swój obiektywizm w zreferowaniu wszystkich elementów sprawy. W stosunku do takiego stanowiska musimy powiedzieć, że nie możemy zdobyć się na uznanie. Obiektywizm ten moglibyśmy podziwiać tylko w jednym wypadku, to jest wtedy, gdybyśmy sprawę ludzkiego honoru i ludzkiej czci mieli uważać za rzecz — używając określenia ks. Pirożyńskiego — „moralnie obojętną". Jednak takiego stanowiska zająć nie chcemy i nie możemy.

To też na retoryczne zapytanie co do sposobu „referowania" danej sprawy, musimy odpowiedzieć, że istotnie bardziej podobałby się nam sposób referowania jednostronny, to jest albo postawienie i p o d t r z y m a n i e zarzutu, albo zaniechanie w s p ó ł u c z e s t n i c t w a w jego rozpowszechnianiu i popularyzowaniu.

Jednym z najpoważniejszych błędów naszej współczesności jest lekkomyślny stosunek do zagadnienia czci ludzkiej. Unikanie i s t o t y grzechu w stosunku do tego zagadnienia wydaje nam się ważniejsze, niżeli stwarzanie p o z o r ó w najdalej idącego obiektywizmu.

Redakcja „Prosto z Mostu" w zakończeniu swej notatki polemicznej mówi o „zrozumiałych względach", dla których ostatni atak na Wacława Sieroszewskiego nie podoba się naszemu pismu. Istotnie względy te uważamy za zupełnie jasne i zrozumiałe. Chcielibyśmy jednak poświęcić im kilka słów bliższego komentarza.

Wacław Sieroszewski jest dzisiaj senatorem R. P., prezesem Polskiej Akademii Literatury, człowiekiem zajmującym pewne stanowisko społeczne i polityczne. Nie to jednak jest dla nas istotne i ważne. Istotne i ważne jest to, co wiąże się już dzisiaj raczej z przeszłością, to jest fakt, że Wacław Sieroszewski był w swoim czasie autorem znacznej liczby książek, dostarczających Narodowi szeregu wysoce wartościowych moralnie i artystycznie wrażeń. Nie widzimy powodu, dla którego mielibyśmy o tym zapominać, albo uważać to za rzecz w odniesieniu do osoby Wacława Sieroszewskiego drugorzędną.

Występując w sprawie podjętych dziś przeciwko Wacławowi Sieroszewskiemu ataków, czynimy to nie dlatego, że atak skierowany jest przeciwko Senatorowi, Prezesowi P. A. L., czy wreszcie człowiekowi o takich czy innych przekonaniach politycznych. Jeśli chodzi o tytuły Wacława Sieroszewskiego do naszej obrony, czy też do obrony ze strony wielu czujących i myślących w Polsce ludzi, to najistotniejsze z nich płyną wciąż z faktu, że chodzi tu o niedopuszczenie do lekkomyślnego pokrzywdzenia autora „Dna nędzy", „Na kresach lasów", czy wreszcie nawet zaatakowanych przez p. Grzegorczyka i redakcję „Prosto z Mostu", jako rzekomo niedość oryginalnych, „Powieści chińskich".

„Brak oryginalności" — jest to określenie i zagadnienie inne, niżeli operowanie zarzutem plagiatu. Nie mniej jednak i tutaj, przy operowaniu tego rodzaju określeniami, wskazana jest daleko idąca ostrożność. Szczególnie, gdy zarzuty obu rodzajów podawane są łącznie, w bezpośrednim czy też pośrednim ze sobą związku.

Ostrożność ta jest wskazana nie tylko ze względu na Wacława Sieroszewskiego. W poprzednim numerze sformułowaliśmy to w słowach, że „przy wyborze miernika dla sądów, co wypada i co nie wypada, trzeba dbać o to, by miernik ten mógł być zastosowany we wszystkich wypadkach bez obawy o to, że z grona ludzi najbardziej we własnym Narodzie czczonych uczyni nagle zbiorowisko amoralnych jednostek, oskarżonych o najdalej idące występki przeciwko siódmemu przykazaniu". Nie jest to troska wcale tak odległa i bezprzedmiotowa.

Nie będziemy szukać i mnożyć argumentów. Obawiamy się jednak, że wejście na drogę zbyt łatwego operowania zarzutami niedostatecznej oryginalności, czy nadmiernych zapożyczeń, w stosunku do dzieł o wyraźnej i bezsprzecznej wartości artystycznej, może w konsekwencji doprowadzić do stanu, przy którym dotychczasowa „bluszczowość" Słowackiego stanie się zarzutem już nie estetycznym, ale i moralnym, stronice „Faraona" Bolesława Prusa będą rozpatrywane przede wszystkim z punktu widzenia zaczerpnięcia z współczesnych historyków starożytności takiej czy innej wersji, służącej do oddania kolorytu epoki staroegipskiej, Wyspiański będzie uznany za jawnogrzesznika, nie mówiąc już, oczywiście, o tym największym z plagiatorów świata, jakim był ten, który „po Bogu najwięcej stworzył ludzi" — Szekspir.

Przy formułowaniu oskarżeń trzeba pamiętać, że nadmierna łatwość i gorliwość w tej dziedzinie prowadzi za sobą skutek podwójny: pokrzywdzenie pewnej liczby tych, którzy nie powinni być pokrzywdzeni, łatwiejszą rehabilitację istotnie winnych. Dlatego i w tej dziedzinie, jak w wielu innych, trzeba przestrzegać pewnej miary. Inaczej następuje sprowadzenie sprawy do absurdu. W stosunku do Wacława Sieroszewskiego całość toczącej się dziś kampanii wykazuje te cechy absurdu w sposób nie ulegający wątpliwości.

I to jest „wzgląd zrozumiały", dla którego kampania ta istotnie wysoce nam się nie podoba. Nie podoba nam się zarówno z punktu widzenia jej moralnego oblicza, jak i poziomu kryteriów artystyczno-literackich.

NOTATNIK ZAGRANICZNY

Tępienie „bydła"

(z. d.) Jadącego samochodem z Nankinu do Szanghaju ambasadora Wielkiej Brytanii ranili ciężko lotnicy japońscy, którzy dali do samochodu salwę z karabinów maszynowych. Japończycy strzelali do samochodu, nie przypuszczając oczywiście, że samochód ten wiezie obcych dyplomatów. Nie mogli jednak sądzić, że ten samochód bierze udział w działaniach wojennych. Ambasador przejeżdżał przez okolicę, w której nie było żadnych oddziałów chińskich i gdzie nie toczyły się żadne walki. Lotnicy japońscy mogli więc co najwyżej sądzić, że widziany przez nich samochód wiezie ewentualnie oficerów sztabu głównego. Taką ewentualność lotnicy japońscy uznali za wystarczającą, aby strzelać i tym samym wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zabić kilka bezbronnych osób cywilnych.

Gdyby tymi osobami cywilnymi nie byli ambasador Wielkiej Brytanii i jego otoczenie, to cały ten incydent pozostałby, jak i wiele innych podobnych, tylko czymś, co wzburza opinię, ale nie pociąga za sobą konsekwencyj. Kilka miesięcy temu lotnicy niemieccy w Hiszpanii dziesiątkowali z karabinów maszynowych ludność cywilną, uciekającą w popłochu z płonącej Guerniki. To bezprzykładne barbarzyństwo wywołało oburzenie całego świata, ale Hiszpania rządu walenckiego jest zbyt słaba, aby mogła zażądać od Niemiec wytłomaczenia. Tym razem sprawa wygląda inaczej. Ofiarą brutalnej napaści uczestników porozumienia antykomunistycznego, mającego „chronić cywilizację od zagłady", padł ambasador wielkiego mocarstwa. Napaść tym razem będzie miała następstwa dyplomatyczne i powstrzyma nieco zapały nowoczesnych „rycerzy krzyżowych". Ale Wielka Brytania nie wystąpiła tylko w obronie swego prestiżu; działa również — co jest bardzo piękne i godne podziwu w czasach dzisiejszych — z myślą o ludzkości jako takiej, bez względu na narodowość i przekonanie, a ze względu na przynależne jej prawa. Jak stwierdza nota protestacyjna, złożona w Tokio przez brytyjskiego chargé d'affaires ministrowi Hirocie, wypadek ambasadora brytyjskiego w Chinach „jest przestrogą, do czego mogą doprowadzić ataki powietrzne, dokonywane bez zastanowienia. Tego rodzaju wypadki są nieodłączne od równie bezprawnego, jak i nieludzkiego, zwyczaju zaniedbywania ścisłego rozróżniania kombatantów i nie-kombatantów w czasie akcji wojennej, które to ścisłe rozróżnianie zarówno prawo międzynarodowe, jak i poczucie ludzkości, zawsze nakazywało. Fakt, iż w danym wypadku stan rzeczywistej wojny nie został ogłoszony lub wyraźnie uznany przez którąkolwiek ze stron, podkreśla jeszcze niemożność wytłumaczenia tego, co się zdarzyło".

Istota wypadku z ambasadorem brytyjskim w Chinach nie wyczerpuje się w tych oficjalnych słowach noty dyplomatycznej. Japonia sądzi, że walczy z „chińskim skomunizowanym bydłem". Tak samo ochotnicy włoscy i niemieccy sądzą, że walczą z hiszpańskim „czerwonym bydłem". To bydło tępi się bez litości, w taki sposób i w takim rozmiarze, jak tego wymagają konieczności akcji, prowadzonej... „w obronie cywilizacji" I tu kryje się jądro całego zagadnienia. Wojna dziś jest wyklęta jako sposób osiągania celów narodowych. Wojny nigdzie nie ma — bo się jej nie wypowiada. Dokonywuje się tylko ekspedycji ratowniczych, podejmowanych w imię ludzkości i jej kultury.. przeciw ludzkiemu „bydłu". A praw dla tego bydła" oczywiście nie ma żadnych.

Ideologie i światopoglądy często się zmieniają. Sposoby walki, podpowiedziane raz przez fantatyzm, mogą przejść do arsenału stałych środków wojennych. Baczmy więc, by lotnicy niemieccy, zaprawieni w Hiszpanii, a zagrzani przykładami z Chin, nie zaczęli kiedyś tępić masowo „bydła" polskiego, w imię jakiejś nowej „ideologii".

Niemiecka wizyta Mussoliniego

(z. d.) W berlińskich kołach dyplomatycznych zapewniają, że w drugiej połowie września ma odwiedzić oficjalnie Kanclerza Hitlera Mussolini. O tej wizycie mowa jest już od pół roku. Za każdym razem, jak tylko się wydawało, że termin wizyty ma być już bliski, prasa państw niechętnych „osi Berlin — Rzym" starała się przedstawić oczekiwaną wizytę jako manifestację przeciwko współdziałającym Francji i Anglii. Komentarze te były błędne. Nie brały pod uwagę głębszych racji, dla których od dwóch lat Włochy i Niemcy pozostają w ścisłym kontakcie.

„Oś Berlin — Rzym" sklecono nie tylko z myślą o kilku — wybitnie koniunkturalnych — celach politycznych. Miano tak samo zamierzenia dotyczące narodów. Narody włoski i niemiecki nie były ustosunkowane do siebie korzystnie. Wina to głównie polityki. Przed wojną światową Włochy były złączone z Niemcami (i Austro-Węgrami) więzami „trójprzymierza". Przymierze to, zawiązane w roku 1882, już w ostatnich latach dziewięćdziesiątych było znacznie nadwyrężone przez niezbyt w stosunku do Niemiec i Austro - Węgier lojalną politykę Włoch. Kiedy wybuchła wojna, Włochy nie spieszyły się na pole walki i ostatecznie, skoro się zdecydowały — stanęły po stronie wrogów Niemiec. Nie mogło to oczywiście wywrzeć korzystnego wpływu na stosunek narodu niemieckiego do włoskiego, który i tak nie był stosunkiem zaufania. Historia przedwojenna Włoch jako państwa zjednoczonego liczyła 54 lata. Z tego 33 lata przeszły w nastroju trójprzymierza, które stało się ostatecznie powodem głębokich rozdźwięków. Po wojnie światowej znów Włochy mają powody do żalu. Mussolini i Hitler podczas spotkania w Wenecji ustalili wytyczne ścisłego współdziałania w polityce zagranicznej. Ale wkrótce po tym hitlerowcy dokonywują zamachu na niepodległość Austrii i mordują Kanclerza Dolfussa, politycznego przyjaciela Mussoliniego. Faszyści odczuli to jako zdradę.

Wojna abisyńska po raz trzeci zaktualizowała zagadnienie ścisłej współpracy włosko - niemieckiej. Ale po tym wszystkim, co było, problem ten nie wyglądał łatwo. W Berlinie i Rzymie rozumiano, że współpraca może się okazać wręcz niemożliwą, o ile uprzednio nie zostanie wytworzona przyjazna atmosfera między oboma narodami i w następstwie wzajemne zaufanie. Dlatego, zanim jeszcze przystąpiono do układów politycznych, nawiązano kontakty kulturalne. Delegacja czarnych koszul bawiła na Parteitagu 1935. Odbywały się w dalszym ciągu wizyty i rewizyty kierowniczych osobistości niemieckich i włoskich, a podróżom ich towarzyszyły manifestacje narodowe i partyjno - światopoglądowe. Prasa dokładała wszelkich możliwych starań, aby urobić opinię. I dopiero po roku przeszło takich wysiłków — pod naciskiem konieczności podjęcia w Hiszpanii daleko idącej interwencji — pomijając już wyrównanie polityczne odnośnie Austrii, obaj dyktatorowie zdecydowali się na protokularne ustalenie zakresu współdziałania. Ale wszystkie powody polityczne, dla których sklecono „oś Berlin—Rzym", mogą niebawem przestać istnieć. I wtedy „oś" nie będzie miała racji bytu. Powstanie kwestja stosunku obu narodów: stosunek ten uległ ostatnio przeobrażeniu na lepsze. Będzie to najprawdopodobniej jedyna trwała pozostałość po „osi".

Jeśli Mussolini złoży manifestacyjną wizytę w Berlinie, to z pewnością mając na celu nie przejściowe, ale trwałe cele. A te właśnie leżą nie w zakresie polityki międzynarodowej, tylko na polu zbliżenia dwóch narodów, które były dotychczas przepełnione wzajemną nieufnością. Wszystko, co osiągnięto dotychczas na tym polu, jest jeszcze nikłe i powierzchowne. Otóż zdaje się, że wizyta Mussoliniego ma na celu przyczynienie się w pierwszym rzędzie do pogłębienia tej właśnie ewolucji, a nie mocniejsze, niż dotychczas, związanie kancelarii dyplomatycznych obu państw.

Włochy i Syria

(z. d.) Zwycięstwo lotników włoskich w raidzie Marsylia — Damaszek — Paryż zaktualizowało temat stosunku Włoch do Syrii. Pisząc w poprzednim numerze „Narodu i Państwa" o zamiarach Mussoliniego odnośnie Bliskiego Wschodu, skoncentrowaliśmy uwagę na sferze interesów brytyjskiej. W związku z naszymi przypuszczeniami o konkwiście kulturalnej państw Bliskiego Wschodu przez Włochy chcemy teraz zacytować następujące uwagi paryskiego korespondenta **Gazety Polskiej** (26.8): „Rozpowszechnione jest w Paryżu mniemanie, że dalsze rewindykacje terytorialnego nowego imperium rzymskiego pomyślane są kosztem francuskiego stanu posiadania.. Na razie nie Tunis wydaje się być objektem jutrzejszych włoskich ambicji, ale Syria. Francja zabezpieczyła się co prawda częściowo przeciwko ewentualności przekazania mandatu nad tym krajem innemu mocarstwu. Zastosowała po temu wypróbowany system angielski, likwidując mandat, ogłaszając niepodległość Syrii, ale nie wycofując z „niepodległego" kraju ani jednego batalionu. Sądzi się jednak we Francji, że ten zręczny manewr nie zdołał zniechęcić Włoch. Najlepszym dowodem jest liczny i triumfalny udział lotnictwa włoskiego w raidzie Marsylia — Damaszek — Paryż. Znam dobrze Syrię, przesyconą włoską emigracją. Na każdym kroku spotyka się tam Włocha: hotelarza, aptekarza, fotografa, kupca, dentystę. Wszyscy są ujęci w karby świetnej organizacji. Jest to dla Rzymu wymarzony teren. Wyobrażam sobie oszałamiającą owację, z jaką tutejsza patriotyczna ludność powitała lądującego na żyznej ziemi syryjskiej młodego Bruna Mussoliniego. Ta fantastyczna propaganda musiała zelektryzować również ludność arabską".

Syria istotnie jest dla Włoch świetnym terenem dla podboju kulturalnego jako sposobu osiągnięcia celów politycznych. Nie ulega wątpliwości, iż Włochy mają w zasadzie duże szanse wyparcia Francji z Syrii i ugruntowania tam swych wpływów. Ale chcąc to zrealizować, Włochy musiałyby się zgodzić, że Francja, dotychczas hamująca Anglię w jej przeciwwłoskich zamiarach, przestanie od razu hamować i przyłączy się do frontu przeciwwłoskiego. Otóż wszystko wskazuje, że Włochy, po realizacji zbrojeń angielskich, nie będą się mogły mierzyć zbrojnie z frontem angielsko - francuskim, nawet wspomagane przez Niemcy, a tym samym mając taki front przed sobą, musiałyby zrezygnować z minowania politycznych pozycji Francji i Anglii na Bliskim Wschodzie. Można więc przypuszczać, że polityka włoska dążyć będzie raczej do zapewnienia sobie neutralności Francji na wypadek konfliktu z Anglią. I w takim razie Włochy nie będą mogły planować minowania francuskiej pozycji w Syrii. Rezygnacja taka nie byłaby dla nich zbyt trudna. Jeśli sobie przypomniemy słynne oświadczenie Castelreagh'a: „Każda pozycja na drodze do Indyj musi i będzie do nas należeć" — to możemy wprawdzie pomyśleć, że Mussolini mawia podobnie: „Każda pozycja na drodze do Abisynii musi i będzie do nas należeć", ale Syria nie leży na drodze do Abisynii, we włoskich planach imperialnych jest zatem terenem drugorzędnym.

Myślimy więc, iż nie są uzasadnione obawy, że Syria może się stać po-

wodem nowych rozbieżności włosko-francuskich. Oświadczenie Mussoliniego, złożone ostatnio w mowie w Palermo, że „między Włochami a Francją nie ma powodu do dramatu", zdaje się odpowiadać całkowicie i dosłownie istotnemu stanowi rzeczy. Sprawa Hiszpanii i stanowisko francuskich czynników „antyfaszystowskich", mogą gniewać Mussolinięgo i różnić go przejściowo z Francją, ale trudno przypuścić, aby nastąpił dramatyczny moment ataku Włoch na francuskie pozycje kolonialne. Atak taki Mussolini rezerwuje z pewnością wyłącznie dla Anglików.

O NAS U OBCYCH

(Wizyta min. Sandlera — Sprawa ukraińska — Polacy w Niemczech — Niemcy o Śląsku).

W związku z ostatnią wizytą warszawską ministra spraw zagranicznych Szwecji Sandlera liberalny dziennik sztokholmski **Stockholms-Tidningen** przyniósł na temat wizyty szereg ciekawych i w serdecznym tonie utrzymanych uwag.

W oparciu o własne siły państwowe — pisał „St. T." — oraz dzięki swemu wyjątkowemu położeniu geograficznemu Polska zapoczątkowała w ostatnich latach mniej lub więcej aktywną politykę zagraniczną. Na skutek swego położenia Polska stałaby się — w wypadku powstania większych konfliktów zbrojnych w Europie wschodniej — terenem działań wojennych. Dlatego też będzie rzeczą zrozumiałą, że na terenie genewskim Polska bardzo często łączyła się z krajami skandynawskimi. Tak się równocześnie składa, że z jednej strony kraje te traktują Polskę jako jeden z doniosłych czynników w życiu Europy, a równocześnie min. Beck, jako pierwszy z polskich ministrów spraw zagranicznych, docenia w całej pełni wartość współpracy z tymi krajami. Jako państwo nadbałtyckie Polska jest wybitnie zainteresowana w tym, by nad Bałtykiem utrzymana została równowaga sił. I tak na terenie Genewy doszły do skutku rozmowy między min. Beckiem i duńskim ministrem spraw zagranicznych Munchem; skolei nastąpiła wizyta norweskiego ministra spraw zagranicznych Kohta w Warszawie, a ostatnio wreszcie wizyta min. Sandlera. Trudno ustalić, co będzie przedmiotem rozmów w czasie tej wizyty: jedno jest pewne, mianowicie to, że min. Sandler wykorzysta wizytę do nawiązania bardzo ścisłych kontaktów z czołowymi mężami stanu w Polsce. Obok płk. Becka, który stał się polskim reprezentacyjnym ministrem spraw zagranicznych i który przeżyje jeszcze z całą pewnością kilka gabinetów, wchodziliby tu w rachubę ludzie tacy, jak następca Piłsudskiego marsz. Śmigły - Rydz, jak Prezydent Mościcki, czy wreszcie jak min. Roman, który poprzednio był posłem w Sztokholmie. W dobrze poinformowanych kołach politycznych podkreślają, że w czasie wizyty min. Sandlera dużo uwagi poświęci się stosunkom handlowym polsko - szwedzkim. W dziedzinie handlu Polska poczyniła ze Szwecją jak najlepsze doświadczenia, jeśli się weźmie pod uwagę fakt, że kapitał zagraniczny nie spisywał się w Polsce dobrze. Cały szereg kapitalistycznych imprez zagranicznych, zwłaszcza francuskich, znalazł swój epilog przed sądami. Państwo czuło się oszukane, i w tym przeważnie miało rację. . Wyjątek — jak to b. silnie podkreśliło pismo — stanowiła zato zawsze Szwecja, gdyż mimo, że inwestycje kapitałowe były ze strony Szwecji dość liczne, to jednak tarć żadnych nie było. Strona polska jest zainteresowana w tym, by stosunki handlowe Polski ze Szwecją rozwijały się w dalszym ciągu.

* * *

Analizą aktualnego stanu sprawy ukraińskiej w Polsce zajął się świeżo **Berliner Tageblatt**, poświęcając jej w n-rze 392-93 dłuższy wywód. Zreferowawszy dosyć wyczerpująco dotychczasowy rozwój stosunków wzajemnych między Ukraińcami a Państwem Polskim — ze specjalnym podkreśleniem negatywnych momentów tego stosunku po stronie Państwa — pismo dochodzi do sformułowania następujących konkluzji:

W odniesieniu do problemu ukraińskiego, ujmowanego generalnie, nasuwa się — zdaniem „B. T." — w Warszawie coraz częściej pytanie, czy należy go w dalszym ciągu regulować w ramach polityki centralistycznej Państwa, czy nie. Ze stanowiska politycznego i wojskowego nie ulega żadnej wątpliwości, że problem Ukrainy po jednej i drugiej stronie granicy jest problemem szczególnie delikatnym. Wynika to m. in. z tego, że już w 1919 r. w Stanisławowskim wojsko rumuńskie wyświadczało Polsce — swej przyszłej sojuszniczce — pewne usługi i że w latach późniejszych — w odniesieniu do tych samych terenów — usługi te również były brane w rachubę. Tego rodzaju postawa zdradza — zdaniem pisma — najzupełniej wyraźnie stan niepewności, co zresztą nie pozostało również bez refleksu na politykę bieżącą.

Szans psychologicznych Polski w odniesieniu do Ukraińców w Małopolsce wschodniej należy doszukiwać się w błędach, jakie popełniły Sowiety. Błędy te nie wpłynęły jednak poważniej na zmniejszenie się siły atrakcyjnej 35 milionów żyjących po stronie sowieckiej Ukraińców na ich 5—7 milionów współrodaków w Polsce. Polska musi być przygotowana na to, że prędzej czy później poczucie narodowo-państwowe tych milionów upomni się o swoje prawa. Rzecz oczywista, — kończy pismo — że sprawy ukraińskiej w Polsce nie można rozwiązywać w oderwaniu od ogólnej polityki mniejszościowej Państwa, które posiada 30% mniejszości. Oparty na zgoła zbędnych przesłankach pogląd, że po rozbiciu większych mniejszości resztki ich zdoła wchłonąć naród państwowy, rodzi wśród ofiary siłę oporu, która może rozbić organizm państwowy wtedy, gdy Państwu na tej mniejszości będzie najwięcej zależało.

* * *

Opublikowane ostatnio na łamach niemieckiej prasy codziennej i periodycznej artykuły i opracowania, poświęcone Polakom w Niemczech, a przedstawiające w sposób zgoła nieprawdopodobny, czy nawet fantastyczny, stan rzeczy, jaki w odniesieniu do spraw Polaków w Niemczech i ich warunków życia w rzeczywistości istnieje, miały niewątpliwie wywołać wrażenie, że położenie Polaków w Niemczech jest jak najlepsze i że stanowisko Rzeszy w tej dziedzinie jest bez zarzutu.

W powyższych wywodach bardzo ciekawą ewolucję przeszły cyfry, odnoszące się do zagadnienia siły liczebnej elementu polskiego w Niemczech. Pomijając dane nawet niezmiernie tendencyjnego w dążeniu do kilkakrotnego obniżania liczby Polaków w Niemczech spisu ludności z roku 1933, według którego na samych tylko sąsiadujących z Polską terenach pogranicznych żyje ponad 400.000 ludności polskiej, pisma niemieckie z niesłychaną nonszalancją przechodzą do porządku dziennego nad urzędową publikacją, która wyniki te podaje, i przeprowadzają szereg mniej lub więcej sprytnie pomyślanych kombinacji cyfrowych, by liczbę Polaków w Niemczech sprowadzić do minimum.

Oto kilka przykładów, ilustrujących bezdroża, na jakie prasa niemiecka ostatnio weszła, powodując się nienawiścią do polskości.

Miesięcznik wrocławski **Der Oberschlesier** obliczył w tegorocznym numerze styczniowym, że Polaków w Niemczech jest 200.000. Do tego wyniku doszedł „D. O." przez pomnożenie oddanych przez Polaków w wyborach do Reichstagu w 1930 r. 33.000 głosów przez 6 (z tylu osób, według pisma, składa się przeciętna rodzina polska w Niemczech), gdyż podobno tylko w ten sposób — przez *polityczne* przyznanie się do polskości — istnieje jedyna możliwość ustalenia liczby Polaków w Niemczech.

Wille und Macht dochodzi w pół roku później (w jednym z numerów lipcowych pisma) do przekonania, że Polaków w Niemczech jest właściwie co najwyżej 100.000. Pismo stwierdziło tu dosłownie, co następuje: „Cyfra 100.000 Polaków w Niemczech jest cyfrą bardzo optymistycznie skalkulowaną, jeżeli się oprzeć na zasadzie: „Do mniejszości zalicza się ten, kto chce do niej należeć". Jeżeli się weźmie pod uwagę przynależność organizacyjną Polaków w Niemczech, wybory parlamentarne, do których Polacy stawali zawsze z własną listą, nakład pism, zupełnie nieskrępowaną swobodę w dziedzinie szkolnej czy gospodarczej, to będzie jasne, że cyfra 100.000 jest skalkulowana bardzo, bardzo optymistycznie".

W półtora miesiąca później do sprawy tej powrócił **Völkischer Beobachter** (nr 232), pismo, zdawało by się, w dzisiejszych warunkach niemieckich najpoważniejsze. Otóż pismo to donosi, że Polaków w Niemczech, według jego obliczeń — jest 40—50 tysięcy. „Przyjmując — pisze „V. B." — liczbę członków Związku Polaków w Niemczech na około 10.000 i dodając do tego na osobę 4—5 członków rodziny, można określić zorganizowany element polski na terenie całej Rzeszy na 40—50 tysięcy. Z powodów, które by nas tutaj za daleko zaprowadziły, należy stwierdzić, że cyfra ta jest raczej za wysoka, niż za niska".

Tezy te są zbyt absurdalne, by można było podejmować z nimi dyskusję.

* * *

Volk und Reich przynosi w numerze z lipca r. b., poświęconym w całości sprawom śląskim w związku z wygaśnięciem Konwencji Genewskiej, m. in., artykuł H. Rogmanna, omawiający skutki gospodarczego „rozdarcia" Śląska. Patetyczny ton, w jakim jest utrzymany ten elaborat, oraz przedziwna argumentacja autora przywodzi nam na pamięć niesławny rewizjonizm niemiecki z okresu jego największego nasilenia.

Po przedstawieniu ujemnych konsekwencji, jakie dla Niemiec wynikły z owego „rozdarcia" Śląska i powstania „bezsensownych oraz nie liczących się z niczym granic", autor przechodzi do naszkicowania rozwoju sytuacji na terenie Śląska wojewódzkiego. Wnioski jego są tu owiane ponurym pesymizmem. Rolnictwo — powiada Rogmann — znalazło się w gorszych warunkach rozwojowych ze względu na w ogóle rolniczy charakter Polski i związane z tym zagadnienie utrudnień, na jakie napotka zbyt płodów rolniczych. Obniżył się poziom gospodarki rolnej ze względu na małą opłacalność gospodarki, wywołaną nadmierną podażą płodów rolniczych przez rolnictwo pozostałych ziem. Sytuację pogorszyły do reszty wysokie podatki, ściągane niesłychanie rygorystycznie z rolnictwa śląskiego, jako najlepiej zorganizowanego i najlepiej uchwytnego do wymiaru podatku. Wszystko to doprowadziło do ogólnego obniżenia się standartu życiowego na pograniczu.

Przemysł górnośląski znalazł się w niesłychanie trudnej sytuacji ze względu na utratę dotychczasowych rynków zbytu w Rzeszy i brak zorganizowanego rynku w nowopowstałym Państwie Polskim. Wynikłe z takiego stanu rzeczy przestawienie produkcji na eksport przyczyniło się do poważnego obniżenia rentowności. Co więcej — skarby naturalne Śląska, wywożone przez „korytarz" i Gdynię w świat, musiały usprawiedliwiać przynależność Pomorza do Polski. „Popełniona na Górnym Śląsku niesprawiedliwość musiała usprawiedliwiać niesprawiedliwość korytarzową".

Elaborat Rogmanna kończy się charakterystycznym stwierdzeniem, że w sprawie ostatecznego i organicznego rozwiązania problemów śląskich nie zostało jeszcze powiedziane ostatnie słowo.

PRZEGLĄD PRASY

Polska i Niemcy

Polemizując z Wł. Studnickim na temat stosunków Polski z Niemcami i z Francją, POLONIA (nr 46207 z 26.VIII) pisze w związku ze zdecydowanym opowiedzeniem się Wł. Studnickiego za sojuszem polsko-niemieckim, co następuje:

„Próba uzasadnienia potrzeby, pożytku i w ogóle możliwości sojuszu Polski z Niemcami, podejmowana przez p. Wł. Studnickiego, jest zadaniem tak trudnym, że nie zdoła on nagiąć umysłów i wyobraźni społeczeństwa naszego do tego złowieszczego widziadła, przeciw któremu przemawia wszystko w naszej przeszłości, a nie mniej wymownie także teraźniejszość rzeczywistych stosunków polsko-niemieckich na tle niedwuznacznych dążeń Trzeciej Rzeszy”.

Pismo stwierdza jeszcze na marginesie tezy Wł. Studnickiego, że przymierze z Francją nie daje nam korzyści finansowych, jakie podobne przymierze z Francją dawało Rosji przedwojennej:

„Czy to ma znaczyć, że Polska powinna wchłaniać tyle pieniędzy francuskich i tak je wchłaniać, jak dawniej Rosja? To zaś pewne, że w granicach naszych potrzeb oraz roztropności w zadłużaniu się lub korzystaniu z pieniądza zagranicznego nie mieliśmy nigdy zawodu ze strony Francji, zaczynając od zagospodarowania się na Górnym Śląsku w latach 1921—22, po przez port w Gdyni w latach 1924 i następnych, oraz budowę kolei Śląsk — Bałtyk w 1932 r., aż do ostatniej pożyczki na zbrojenia z końca 1936 r. po podróży marszałka Śmigłego-Rydza do Francji.

Godzi się zaś wspomnieć, że w stosunkach gospodarczo - pieniężnych Polski z Niemcami wychodzimy na umowach, jak Zabłocki na mydle, oraz w ogóle kokosów nie zbieramy, ani też grosza niemieckiego nie widzimy, a mamy stałe grube kłopoty z wydostaniem tego, co nam się należy, nawet za przewozy kolejowe, nie mówiąc o innych zamrożeniach”.

A w ogóle trzeba stwierdzić, — pisze „Polonia” w n-rze 4618 — że w Berlinie będzie Polska miała jak najlepszą notę wtedy, gdy swoją politykę zagraniczną oprze na pokojowych deklaracjach Trzeciej Rzeszy i nie będzie zwracała żadnej uwagi na zbrojenia niemieckie. Najwyraźniej wynika to z postawy prasy niemieckiej wobec spraw polskich:

„Gdy Niemcy tworzą olbrzymią flotę wojenną na Bałtyku, to wszystko jest w porządku. Ale gdy w Polsce ukazuje się rozporządzenie o obozie warownym na Helu, to najpierw gdańskie pisma hitlerowskie, a potem prasa Rzeszy wyraźnie manifestuje swoje niezadowolenie. Gdy niemieccy politycy, jeżdżąc po Europie, szukają pomocników do ewentualnej awantury wojennej, to jest to umacnianie pokoju. Ale gdy Polska zacieśnia swe stare sojusze polityczne, to prasa hitlerowska patrzy na to ze zdziwieniem i oburzeniem.”

Na pytanie więc: Sojusz z Niemcami czy z Francją? — odpowiedź jest jedna: w żadnym wypadku sojusz z Niemcami!

11 lat

W związku z przypadającą na dzień 28.VIII 11-tą rocznicą objęcia przez dra Michała Grażyńskiego stanowiska wojewody śląskiego POLSKA ZACHODNIA (nr 237 z 29.8) daje następujący krótki bilans dorobku za okres minionych lat jedenaście:

„Oto problem niemiecki został sprowadzony do właściwych rozmiarów. Skończył się patronat opieki międzynarodowej i czynników obcych. W naturalnym procesie awansu społecznego dochodzi lud śląski w coraz wyższym stopniu do roli gospodarza na własnej ziemi, obejmując we władanie nie tylko warsztaty pracy rzemieślniczo - handlowo - przemysłowe, ale wchodząc w administrację wszystkich działów, tak rządową, jak i samorządową, odsetkiem, sięgającym w niektórych działach już 80 do 90%. Poważnemu złagodzeniu uległo nasilenie bezrobocia. Wielkie warsztaty przemysłowe (Wspólnota Interesów, Huta Pokój itd.) przeszły w ręce polskie. Planowym i upartym wysiłkiem dźwiga się Ziemia Śląska z wiekowych zaniedbań. Nie tylko licznie rozsiane placówki kulturalne, czy sanitarne dorównują tempem europejskiemu Zachodowi, ale godnie z nimi harmonizuje gęsta i doborowa sieć szlaków komunikacyjnych, duma nie tylko Śląska, ale i Polski całej. Ten olbrzymi dorobek 11-lecia nie potrzebuje reklamy”.

I dalej jeszcze:

„Oglądany z perspektywy 11 lat imponujący dorobek Pana Wojewody Grażyńskiego nasuwa również bardzo pouczające wnioski także i w innych dziedzinach. Nie da się zaprzeczyć, że na całym tym dorobku wyciska swoje piętno niezwykle silna indywidualność Inicjatora i Gospodarza.

Ale z drugiej strony trudno nie podkreślić jak najusilniej doniosłości takich współczynników, jak: ustalenie planu, obejmującego całość potrzeb prowincji, a więc nie tylko w dziedzinie bezpieczeństwa, ale i społecznej, gospodarczej i kulturalnej — planu uwzględniającego dynamikę rozwoju społecznego. Dalej sharmonizowanie współdziałania wszystkich działów administracji w realizowaniu jednego wspólnego celu, t. j. dobra Rzeczypospolitej. I wreszcie konsekwentna realizacja tego planu bez wahań i zygzaków, w atmosferze wzajemnego zaufania społeczeństwa i biurokracji i pełnym respektowaniu zasad moralności chrześcijańskiej”.

Gdańsk prowokuje

Bezprawne zarządzenia gdańskie w sprawie dzieci polskich, które przy użyciu policji przenosi się do szkół niemieckich, wywołały w Polsce zrozumiałe oburzenie w szerokich kołach społeczeństwa. Prasa polska nawołuje do energicznego wystąpienia i zastosowania represji, o ile by perswazje nie pomogły.

Zdaniem KURIERA PORANNEGO (nr 239 z 29.VIII):

„Niesłychane i wprost prowokacyjne zarządzenia p. Boecka są poważnym obciążeniem całokształtu stosunków polsko-gdańskich. Należy Senat Wolnego Miasta Gdańska przestrzec poważnie przed braniem na siebie odpowiedzialności za psucie dzieła normalizacji stosunków polsko-gdańskich”.

KURIER POLSKI (nr 239 z 31.8) zaś pisze, co następuje:

„Polska ma prawo, ma możność i siłę narzucić Gdańskowi swoją wolę i zmusić go do takiego traktowania mniejszości polskiej, jakie zostało jej zagwarantowane w szeregu umów bilateralnych i ogólnych, normujących położenie prawne Wolnego Miasta i jego stosunek do ludności polskiej na jego terenie. Byłoby rzeczą niebezpieczną — gdyby o tym w Gdańsku zapomniano”.

Według KURIERA WARSZAWSKIEGO (nr 238 z 30.8):

„jeżeliby w dalszym ciągu oficjalne oświadczenia gdańskie miały zapewniać o szczerym dążeniu do osiągnięcia całkowitego porozumienia z Polską, a jednocześnie miały trwać nadal w dziedzinie szkolnictwa stosunki paszkiewiczowskie, to musielibyśmy przyjść do przekonania, że są to puste słowa, mające służyć dla opinii światowej i polskiej za piękną dekorację, umożliwiającą dokonywanie w rzeczywistości barbarzyńskich gwałtów na ludności polskiej na terenie w. m. Gdańska”.

W sposób bardzo ostry domaga się NOWY KURIER (nr 199 z 31.8) represji w stosunku do Gdańska:

„Drogą jednostronnych ustępstw nie osiągniemy właściwej normalizacji stosunków polsko-gdańskich i polsko - niemieckich. Kilkuletnia praktyka wykazała, że Niemcy w ogóle — a hitlerowcy w szczególności — nie liczą się ze zbyt „lojalnym” partnerem. Dlatego obowiązkiem sfer decydujących jest zajęcie wobec gwałcicieli naszych uprawnień takiej postawy, która by stanowczo położyła kres wszelkim wątpliwościom co do naszej siły i woli nieustępliwej obrony interesów polskich.”

Po strajku

Polityczny strajk chłopski z drugiej połowy miesiąca sierpnia spotkał się na ogół na łamach prasy z potępieniem zastosowanych w czasie strajku metod.

ILUSTROWANY KURYER CODZIENNY (nr 237 z 28.8) w następujący sposób zwraca uwagę na niebezpieczeństwo, jakie z tytułu takich akcji politycznych grozić mogą całości Państwa:

„Jesteśmy społeczeństwem politycznie podzielonym, a nawet skłóconym, społeczeństwem, w którym indywidualizm polityczny uchodzi często za zaletę, a nawet przerost tego indywidualizmu nie wywołuje nieraz zgorszenia. Ale instynkt samozachowawczy powiada każdemu Polakowi, że w warunkach geograficznych i politycznych państwa polskiego anarchia i nieład wewnętrzny jest najgorszym nieszczęściem, jakie nas może spotkać. Utrzymanie spokoju, porządku, bezpieczeństwa mienia i życia, to zagadnienie, któremu wszystko inne musi być podporządkowane”.

Zdaniem MAŁEGO DZIENN... (nr 238 z 28.8):

„sztab partyjny ludowców, będąc posłuszny instrukcjom jednostek, przebywających poza granicami państwa, mając w ramach swego stronnictwa zorganizowane masy, zapragnął pokazać swą siłę. Jest rzeczą szczególnego ubolewania godną, że na tę śliską drogę wkroczyło ugrupowanie polityczne, mające w zasięgu swych wpływów ogromne ilości czynnej, przywiązanej do Państwa ludności wiejskiej. Opinia publiczna może łatwo mniemać, że przywódcami strajku chłopskiego kierowało tylko pożądanie władzy, tym gorętsze, im wyraźniej widzą oni, że ich znaczenie maleje w miarę, jak na arenie życia społecznego wsi pojawiają się nowe zastępy młodych działaczy ludowych, wyrosłych już w atmosferze Niepodległego Państwa Polskiego”.

W uwagi ogólniejszej natury zaopatruje POLSKA ZBROJNA (nr 240 z 31.8) komunikat gen. Składkowskiego o zajściach:

„Przywódcy niektórych ugrupowań politycznych w Polsce nie mogą zrozumieć prymitywnej, ale i zasadniczej prawdy, że nasza rzeczywistość polityczna od kilku wieków nie znajduje analogii historycznej, że jest wyjątkowa.

Nie ulega wątpliwości, że ścieranie się sił, ta różnorodna interpretacja Polski i polskości musi się skończyć, musi się przeistoczyć w modus vivendi, zapewniający państwu najlepsze możliwości rozwojowe, gwarantujący spokój i ład wewnętrzny. Nie możemy pozwolić sobie na rozproszkowywanie energii, zamykającej się w pojęciu Rzeczypospolitej i narodu polskiego, a tym bardziej na przeciwstawianie się wzajemne i zwalczanie elementów tej energii”.

Szał antypolski

Rozpętany w ostatnich tygodniach po stronie niemieckiej szał antypolski, przejawiający się w szykanach, aresztowaniach, represjach, rewizjach, likwidowaniu prasy mniejszościowej itp., wzbudził w szerokich kołach społeczeństwa polskiego w kraju głębokie zaniepokojenie. Cała prawie prasa polska, bez różnicy odcieni, w sposób zdecydowany napiętnowała zastosowane wobec Polaków praktyki niemieckie i stwierdziła, że niezbędne jest tu ostre i męskie wystąpienie naszych czynników państwowych.

Zdaniem WIEKU NOWEGO (z dnia 31.8):

„Sprawą powinien zająć się Rząd Polski. Mocna i stanowcza interwencja może odnieść swój skutek. Nie łudźmy się: nie wpłynie ona na zmianę agitacji i tendencyj antypolskich hitleryzmu, ale wpłynąć może ona na zmianę ustosunkowania się władz niemieckich wobec ludności polskiej, na zaprzestanie szykan i prześladowań. Gdyby się okazało, że starania te minęły bez efektu, rząd dysponuje przecież innymi jeszcze środkami i sposobami. Wprawdzie dalecy jesteśmy od stosowania zasady: oko za oko, nie mniej nie widzimy najmniejszego powodu, by tolerancja polska — wobec antypolskiej postawy hitleryzmu — miała sięgać aż tak daleko, jak dotychczas”.

KURIER WARSZAWSKI (nr 234 z 26.8) słusznie zwraca uwagę na nowy, odmienny od dotychczasowego, sposób traktowania przez Niemcy zagadnienia polskiego w Niemczech, którym

Rzesza chciałaby usprawiedliwić swoje ostatnie wystąpienia przeciw Polakom.

„Trzeba sobie zdać z tego sprawę w Polsce, że stoimy dzisiaj wobec nowego zjawiska w Niemczech w sprawie tamtejszej ludności polskiej: urzędowa polityka Trzeciej Rzeszy po prostu zaprzecza istnieniu ludności polskiej, sprowadzając jej przyznawaną liczbę do śmiesznie małego szczątka.

— My prześladujemy Polaków? Ależ u nas prawie zupełnie nie ma ludności polskiej! Co też mówicie?"

Zdaniem pisma jest to zjawisko nowe.

„Nawet w dobie najbardziej już wytrawnego i udoskonalonego ucisku polskości i wynaradawiania w b. zaborze pruskim, od Bismarcka do Bülowa, za czasu działania H. K. T., od ustawy o Komisji Kolonizacyjnej z 1886 r. do ustawy o wywłaszczeniu z 1908 r., obok ustawy z 1907 r. o zakazie używania języka polskiego na zgromadzeniach, przeżyła polskość tamtejsza istne piekło prześladowania, ale... przeczenia jej bytu nigdy nie było, ani w oświadczeniach, ani w obliczeniach urzędowych, choć chętnie i sztucznie zmniejszano ilość prawdziwą".

Zmiana zasadnicza następuje dopiero teraz, w czasach, w których Rzesza tak niby szanuje narodowość, dba o czystość rasy niemieckiej i jest przeciwna wchłanianiu żywiołów obcych...

»Front Morges« montuje się

DZIENNIK PORANNY (nr 235 z 25.8) zwraca uwagę na przedsiębrane w chwili obecnej i projektowane na najbliższe miesiące akcje czynników, montujących t. zw. „Front Morges". W przeciwieństwie do praktyk dotychczasowych, chodzi tym czynnikom o ustalenie wyraźnie określonych form organizacyjno - strukturalnych jako punktu wyjściowego dla konkretnej pracy politycznej, przewidzianej na najbliższą przyszłość.

„Na pierwszy ogień — pisze „Dz. P." — idzie Chadecja, która po różnych secesjach i ucieczkach pozostała w rękach p. Wojciecha Korfantego, bawiącego od dłuższego czasu poza granicami kraju, i jego zastępcy, adw. Tempki.

Zaraz po Chadecji zbierze się na swój Kongres Narodowa Partia Robotnicza — drugi człon „Frontu Morges". Nie ulega żadnej wątpliwości, że istnieje poważna tendencja w obu tych grupach do zlania się.

Po zjednoczeniu Chadecji z N. P. R-em nastąpił by drugi etap pracy: uporządkowanie i zjednoczenie organizacyj zawodowych, a więc Z. Z. P., Stow. Robotników Chrześcijańskich, Chrześcijańskich Związków Zawodowych itp. Zjednoczenie organizacyj zawodowych wzmocniłoby bardzo poważnie organizację polityczną. Wtedy nastąpił by trzeci etap pracy: podejście do tego tworu wszystkich organizacyj kulturalnych, oświatowych i nawet religijnych, kierowanych przez Akcję Katolicką.

W ten sposób powstała by wielka machina, rozporządzająca dużą dynamiką, potężnymi środkami materialnymi i — w stosunkach polskich — wielkim naciskiem moralnym. Usadowiwszy się zaś pomiędzy Stronnictwem Narodowym a Stronnictwem Ludowym, mogła by łacno doprowadzić jeśli nie do rozbicia, to do poważnego osłabienia tych obu partyj politycznych. Takie są marzenia autorów koncepcji „Frontu Morges".

Na powyższe wystąpienie „Dziennika Porannego odpowiedział DZIENNIK BYDGOSKI (nr 197 z 28.8) dłuższym artykułem, w którym m. in. pisze co następuje:

„Z tych przewidywań Dziennika Porannego bije wyraźnie zaniepokojenie. Wprawdzie nie ma mowy o tym, aby Akcja Katolicka, mająca ściśle określone religijne zadania, kiedykolwiek zajęła się polityką — ale sam fakt, że Dziennik Poranny straszy Stronnictwo Narodowe i Stronnictwo Ludowe rzekomym niebezpieczeństwem rozbicia, względnie osłabienia ich przez montującv się „Front Morges", pozwala stwierdzić, że lewica obawia się rozwoju „Frontu Morges" i chciałoby mu za wszelką cenę zapobiec".

Dziennik wyraża w zakończeniu swych wywodów przekonanie, że:

„dobrze będzie, jeżeli przewidywane przez prasę lewicową połączenie Chrz. Dem. i N.P.R. dojdzie nareszcie do skutku, dając takiej konsolidacji szczęśliwy początek".

Nie nadużywać wielkich słów!

Na panującą w życiu publicznym dezynwolturę w stosunku do wielkich słów wskazuje KURIER POLSKI (nr 233 z 25.8):

„Polska — Ojczyzna — Naród — Armia".—„Wszystko dla Państwa" — „Służba dla narodu" — „W imię dobra publicznego" — oto jest wiązanka słów i wyrażeń, które niezmiennie powtarzają się w setkach i tysiącach przemówień. Niech marszałek Śmigły-Rydz raz użyje zwrotu o „podciągnięciu Polski wzwyż", natychmiast, jak przez tysiące megafonów, rozbrzmiewa to powiedzenie przy wszelkich okazjach, odpowiednich i nieodpowiednich, w ustach mówców wielkich, średnich, małych i bardzo malutkich, a czasem nawet wręcz wydętych purchawek, które wydymają się cudzym patosem w wysokie regiony górnych słów".

Tej nawałnicy pięknych słów należy — zdaniem pisma — postawić pewną tamę, gdyż obniżają one walor i znaczenie głębszej myśli, w tych słowach i hasłach zawartej.

„Wielkie słowa wywołują — i muszą wywoływać, to jest ich cechą znamienną — nie tylko refleksje, ale wzruszenia. Jeśli wzruszenia te następują zbyt często, muszą się przekształcić w stan podniecenia, niepożądany, społecznie szkodliwy. Nazbyt częste wywoływanie tego typu wzruszeń jest równoznaczne z ich nieposzanowaniem.

Na codzień nie nosi się świątecznego ubrania: spowszedniało by, przestało by sprawiać przyjemność, często było by nieodpowiednie, prędko by się zniszczyło. Źle jest, jeżeli wielkie słowa, zużyte w codziennych pogwarkach, tracą swoją moc działania w chwilach naprawdę ważnych lub groźnych, lub świątecznych, wtedy, kiedy są potrzebne, kiedy mają być kluczem, otwierającym serca i mózgi, nakręcającym wolę".

W tym nadużywaniu wielkich słów tkwi jeszcze jedno wielkie niebezpieczeństwo, na które pismo w dalszych swych rozważaniach zwraca słusznie uwagę:

„Zbyt często u nas uważa się, że powiedzieć coś — to tak jakby się już zrobiło. Wielu ludzi znajduje w słowach, wielkich słowach zwłaszcza, wymówkę, aby nic nie robić. Bardzo wielu jest w Polsce amatorów zagrzewania do czynu... innych. A nie każdemu to przystoi. Stwarza się jakby dymną zasłonę grandelokwencji dla bezczynności, indolencji i nieudolności. Jest rolą i zadaniem niewielu tylko ludzi i w nielicznych tylko okazjach odwoływać się do wielkich słów, rzucać je w społeczeństwo".

Skromność wobec wielkiego słowa jest więc zupełnie, i to zupełnie, na miejscu.

WYDAWNICTWA NADESŁANE

MIECZYSŁAW RYBCZYŃSKI: Wisłą od źródeł do morza. (Drogi wodne i porty). Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych. Lwów, 1937. Str. 176, 78 ilustr. Cena zł. 2.60.

Książka ta, ujęta w formę żywej i zajmującej opowieści, acz napisana przez znakomitego specjalistę - naukowca, zaznajamia młodych czytelników z naszymi drogami i urządzeniami wodnymi, ich stanem, oraz znaczeniem gospodarczym.

Waga i żywotność poruszonych zagadnień dla państwa, mnóstwo cennych wiadomości z dziedziny komunikacji wodnej oraz wybitne walory literackie książki czynią z niej miłą i niezmiernie pożyteczną lekturę uzupełniającą w zakresie fizyki i geografii.

WANDA KARCZEWSKA. Ludzie spod żagli. Powieść, która otrzymała w roku bieżącym nagrodę literacką im. J. Szareckiego za najlepszy utwór marynistyczny. Wydawnictwo Ligi Morskiej i Kolonialnej oraz Inst. Wyd. „Biblioteka Polska". Warszawa, 1937. Stron 220. Cena 6 zł.

SERGIUSZ PIASECKI. Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy. Powieść. Wydawnictwo „Roju". Warszawa, 1937. Str. 412. Cena 10 zł.

MIKOŁAJ BIERDIAJEW. Problem komunizmu. Wydawnictwo „Roju". Warszawa, 1937. Str. 202. Cena 5 zł.

HENRYK DE MANN. O psychologii socjalizmu. Wydawnictwo „Roju". Warszawa, 1937. Str. 362. Cena 10 zł.

MANTEUFFEL JERZY. Książka w starożytności. Z 26 ilustracjami. Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych. Lwów. 1937 r. Str. 120+1 nlb. Cena 3 zł.

Jest to drugi tomik z cyklu p. t. „Grecja i Rzym". W pięciu rozdziałach omawia autor wyczerpująco dzieje książki starożytnej (zwój i kodeks) od czasów zamierzchłych aż do przemian polityczno - kulturalnych, inaugurujących średniowiecze, uwzględniając w szerokim zakresie także rozwój pisma i materiałów piśmiennych.

Dzieje książki ujmuje autor nie tylko z punktu widzenia ewolucji jej wyglądu zewnętrznego (zwój, kodeks, formaty, ilustracje), lecz również z punktu widzenia jej roli i znaczenia społeczno - gospodarczego (zbiory, biblioteki, czytelnictwo, wydawcy, księgarnie).

Żywe i zajmujące wywody autora uplastyczniają liczne reprodukcje zabytków książki starożytnej.

Konto P. K. O. 11-144

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Widok 3 m. 33, tel. 609-70. CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie, 1 zł. miesięcznie. Zagranicą: 21 zł. rocznie, 6 zł. kwartalnie. Prenumeratę wpłacać można w każdym urzędzie pocztowym: 1) pocztowym przekazem rozrachunkowym na rachunek 771, lub 2) blankietem nadawczym P. K. O. na konto 11144. Egzemplarz pojedyńczy 30 groszy.
CENY OGŁOSZEŃ: 1 strona 600 zł., 1/2 strony 300 zł., 1/4 strony 160 zł., 1/8 strony 80 zł., 1/16 strony 50 zł. W tekście o 50% drożej.
Redakcja przyjmuje: poniedziałki, wtorki, piątki godz. 10—11, środy godz. 17—18. Administracja czynna jest w dni powszednie w godz. 10—14.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Kuźnia" Sp. z ogr. odp. Redaktor odpowiedzialny: Janusz Korewo

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Wareckа 15 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem